

ks. Wiesław Al. Niewęgłowski

W CIENIU SŁOWA

tom I

Warszawa 1992

WPROWADZENIE

Medytacja proponowana w trzech tomach zatytułowanych „W cieniu Słowa” pragnie zaprowadzić czytelnika w krąg tajemnicy, jaką odśłania zdanie: „Boże, jesteś bliżej mnie, niż ja sam wobec siebie samego”. Pomóc odnaleźć tę dwojaką „bliskość”, gubioną w codzienności, a odnajdywaną w światłach Ewangelii, jest intencją autora.

Tom pierwszy zbieżny jest z czytaniem liturgicznymi roku „A”.

Teksty były publikowane w latach 1989—1990 na łamach niedzielnego wydania dziennika „Rzeczpospolita”. Wyrazam wdzięczność Redakcji, która jako pierwsza po odzyskaniu wolności przez Polaków, będąc pismem niekonfesyjnym, znalazła miejsce umożliwiające refleksję religijną współczesnemu człowiekowi.

„W cieniu Słowa”. Czym jest „Słowo”? Dlaczego „cień”?

Słowo — źródło porozumienia — orzeka, rozróżnia, porządkuje, definiuje. Mimo szumu informacyjnego, który je deprecjonuje, porażenia nowomową, zachowuje nadal swoją moc, bowiem: zachwyca, przyzywa, przyprowadza, odtrąca, rani, leczy, sprowadza rozpacz, przywraca nadzieję, pociesza, dźwiga, umacnia, ocala, wprowadza w miłość. Bywa, że nazywa nienazywalne, ogarnia nieogarnione.

Słowo — w ustach Boga miało moc powołania świata z nicości. Stawało się Jego posłańcem do ludzi. W owej kruchej rzeczywistości, jaką jest ludzkie słowo, Bóg zamknął Swój Zbawczy Plan, umieścił w nim Swe orędzie. Od zaistnienia Księgi Książ — Biblii można poprzez nie oglądać Go, zobaczyć kim jest i jak chodzi pośród ludzi nierozpoznany. Wprowadza ono człowieka jakby za rękę w tajemniczy, wewnętrzny świat Boga.

Chrześcijaństwo opiera się na słowie i jest z nim wewnętrznie powiązane. Jezus odśłonił, że wiara ze słuchania jest. Słuchania słowa Bożego, które *jest skuteczne i ostrzejsze niż obosieczny miecz, przenikające aż do rozdzielenia duszy i ducha, stawów i szpiku, zdolne osądzić pragnienia i myśli serca* (Hbr 4,12). W nim tkwi moc zdolna przemienić człowieka i uczynić go dzieckiem Boga. Jest ono

niezmienne, niezależne od postępu, od rozwoju nauki, od kolejnych poglądów filozoficznych — o czym zapewniał Jezus mówiąc: *niebo i ziemia przeminą, ale słowa Moje nie przeminą* (Mt 24,35).

Bóg zamieszkał w słowie, jak w domu, dlatego jeśli wejdzie się w nie, można spotkać Gospodarza. Prolog św. Jana ukazuje jeszcze inną jego rzeczywistość — jest ono Samym Bogiem. *Na początku Słowo było u Boga i Bogiem było Słowo* (J 1,1). W niepojęty sposób Bóg — *Słowo stało się ciałem i zamieszkało wśród nas* (J 1,14). Słowo żyje (Hbr 4,12). Jest Osobą.

Cień. Jakąż potrzebą bywa w letni, skwarany dzień dla utrudzonego pracą zniwiarza lub dla wędrowca podczas jego długiego marszu. Jawi się wtedy schronieniem dającym wytchnienie. Ocala przed żarem i obejmuje ciszą. Na pustyni linia dzieląca promienie słońca od cienia jest granicą pomiędzy śmiercią i życiem. „W cieniu Słowa” jest zachętą, aby pośród wielorakich pustyń, nie wyschnąć wewnętrznie i ocalić siebie przed śmiercią serca. Warto dostrzec, że w cieniu, które rzuca Słowo, otwiera się wymiar większy niż własny.

W Biblii świat „cienia” jest przywoływany wielokrotnie. Człowiek często utrudzony życiem bywa *jak niewolnik, co wzdycha do cienia* — powiada Hiob (7,2). Bóg, wiedząc o tym, pragnie *za dnia dać cień przed skwarem* (Iz 4,6). Ofiarując godziny pokoju i uciszenia, kieruje do każdego Swe zaproszenie: *chodźcie i odpocznijcie w Moim cieniu* (Sdz 9,15). „Cień” jest symbolem Jego opiekuńczej Obecności, dlatego ci, którzy Jej potrzebują, *chronią się w cieniu Twoich skrzydeł, Panie* (Ps 36,8) — powiada Psalmista.

„Cień” Boga może być *pomocą* (Ps 63,8), *ucieczką* (Ps 61,5), a wtedy człowiek odkrywa ze wzruszeniem, że Bóg *w cieniu Swej ręki ukrył mnie* (Iz 49,2) i „cień” staje się *mieszkaniem* (Ps 91,1), *spoczynkiem* (Ez 31,17) oraz *radością* (Ps 63,8). Zdarza się, że człowiek odkrywa świat ukryty w słowach psalmu: *Pan twoim cieniem przy twoim boku* (Ps 121,5). Wtedy Bóg jawi się jego nieodłącznym Towarzyszem na wszystkich drogach i choćby chciał, nie sposób odłączyć Go od siebie, jak własnego cienia w słoneczny dzień. Takiej bliskości życzy autor.

ks. Wiesław Al. Niewęglowski

Warszawa — Stare Miasto, Wielkanoc 1992

ADWENT

KROKI BOGA

Czuwajcie, bo nie wiecie, w którym dniu Pan wasz przyjdzie (Mt 24,42).

Rozpoczyna się nowy Rok Kościelny. Cztery tygodnie przed Bożym Narodzeniem określane są jako Adwent.

Adwent — to dzieje oczekiwań. Czeką Bóg. Czekają człowiek.

Adwent to Bóg czekający na człowieka. „Od samego początku doświadczył oczekiwania. Przez całe wieki, od pierwszej algi aż do stworzeń człekokształtnych. Czekał, aż staną się one dość rozumne, by mogły wziąć udział w życiu Jego Ducha, i kiedy przyszedł czas, kiedy nadzieja doszła do zenitu — ukazał się człowiek... Relacja o stworzeniu świata z Księgi Rodzaju to historia Boga, który umie czekać” — pisał Pierre Talec. To dzieje tęsknoty pełne nadziei, jaką odsłania On na kolejnych kartach Biblii, zakończonej wewnętrznym, miłosnym uściskiem. Spełnieniem.

Adwent to Adam, przed którym Stwórca na ścieżkach rajskich odsłonił sekret Swojej miłości i wiecznego zaproszenia.

Adwent to „tłum postaci na fryzie”, czekających z twarzami wzniesionymi ku niebu, nasłuchujących kroków nadchodzącego Boga.

Adwent to Abraham, człowiek zawierzenia i obietnicy, którą pod dębami Mamre złożył mu Przedwieczny bawiący w gościnie.

Adwent to zbiorowisko udręczonych niewolników w ziemi egipskiej.

Adwent to tłum grzeszników i świętych, w czasie niewoli pochylonych nad każdą kołyską chłopca, potencjalnego Wybawiciela. To także długa wędrówka przez żar pustyni, jej piaski i skały do Ziemi Obiecanej.

Adwent to czas prorocत्व, które jak świt rozjaśniają rysy twarzy Niewidzialnego. Bóg przychodzi bowiem z przeszłości.

Adwent to mała izba w domu cieśli, doczepiona do łagodnie wznoszącego się wzgórze Nazaretu.

Adwent to historia Boga i człowieka, która już się spełniła i zamknęła swój rozdział dziejów w skalnej grocie, na pograniczu złocistej pustyni i zapoznanego miasteczka Betlejem.

Adwent nie tylko był. On jeszcze jest. Trwa. Bowiern jak rozważał kardynał Józef Ratzinger: „Bóg jest dla nas prapoczątkiem, od którego pochodzimy i jest także przyszłością, ku której zmierzamy... Obecność Jego w świecie już się zaczęła. W sposób ukryty jest On już teraz obecny; ale ta obecność dopiero się zaczęła, jeszcze się nie wypełniła, jest w trakcie ciągłego stawania się”.

Adwent to oczekiwanie na najbliższe Boże Narodzenie.

Adwent to nasze życie, śmierć i zmartwychwstanie.

Adwent to powtórne przyjście Jezusa Chrystusa.

Adwent to sąd Boga, który przybędzie ocalić każdy okrucuch dobra, pozostawiony przez człowieka.

Adwent to dzieje Boga i człowieka w przyszłości bliskiej i dalekiej, do której zmierzamy oraz horyzont czasu, poza którym jest już tylko „rzeczywistość ogarnięta ramionami Chrystusa”. Odkryć ich sens, poza chaosem i zaplątaną w rozliczne węzły rzeczywistością, jest powołaniem chrześcijanina. On w cierpieniu, nieszczęściu, przegranej widzi więcej niż tylko przypadkowy splot faktów niemych i bolesnych. Jest świadom mądrości, jaką wyraził chiński poeta: „Najcięższe do dźwignia w podróży przez pustynię są naczynia próżne”. Czyż wielu ich nie dźwiga?

Adwent to czas rozbudzenia i pogłębienia w sobie świadomości o ukrytej obecności Boga.

Adwent to okres oczekiwania Pana, czas gotowości i nadziei. Bóg przychodzi bowiem z przyszłości. „Najgorsza rzecz, jaka może zdarzyć się ludziom, to gdy ich serce, »znużone wszystkim, nawet nadzieją«, nie słyszy już kroków Boga, ani Jego głosu; które nie oczekuje niczego więcej” — pisze autor „Drogi do Emaus”. *Czujcie, bo nie wiecie, w którym dniu Pan wasz przyjdzie* — ostrzega Jezus. Człowiek, który oczekuje swego Pana, nie odda się pasywności ani hiperaktywności, głupocie ani cwaniactwu, nieodpowiedzialności ani anarchii, zniechęceniu, brutalności, fałszowi ani wielorakim nadużyciom. Nie jest on w pełni zadowolony z siebie, ani ze świata. Bowiern „myśl o obiecanej przyszłości — mówił J. Moltmann — jak drzazga wbija się nieubłaganie w ciało wszystkiego, co terazniejsze a niedokończone”. Czyni go wychylonym ku dniom poza czasem i przeszkadza mu zaspac pośród małych interesów.

DOLINA PRZEMIANY

Wystąpił Jan Chrzciciel i głosił na Pustyni Judzkiej te słowa: „Nawróćcie się...” Ciągnęły do niego Jerozolima oraz cała Judea i cała okolica nad Jordanem (Mt 3,1.5).

Bród Bethabara, nad którym nauczał człowiek pustyni — Jan, za naszych dni jest praktycznie niedostępny. Jedyne dojście jest od strony izraelskiej. Wąska, ubita droga wiedzie ku wschodowi. Starożytny trakt pamięta Jozuego i Eliasza, orszaki królewskie i pędzonych niewolników, wędrujących koczowników i setki karawan, gromadki kupców i pątników. Prowadzi prosto z Jerycha, gdzie tuż za nieogrodzonym zwyczajowo muzułmańskim cmentarzem rozpoczyna bieg wśród pustyni. Im bliżej rozległej doliny Jordanu, tym bardziej widoczne są zasieki, wieże strzelnicze, bunkry i ukryte stanowiska bojowe. Parę kilometrów od rzeki, której istnienie zaznacza wąziutka linia soczystej zieleni, drogę wytycza ogrodzenie zwieńczone kolczastymi drutami, z zawieszonymi co krok ostrzeżeniami na żółtych tablicach — Danger. To pola minowe. Ciągną się szerokim pasem przez dziesiątki kilometrów wzdłuż świętej rzeki, naturalnej granicy z Jordanią. Nad brzegiem mętnej wody rosną w obfitości krzewy, tamaryszki, wysokie trawy. Nieopodal miejsca dawnej przeprawy — mała, skromna, ażurowa kaplica. Cztery słupy z bladokremowego kamienia, a pomiędzy nimi metalowe kraty o szlachetnym rysunku. Całość zwieńczona kopułką i krzyżem. Raz w roku — w ostatni czwartek października — można tutaj dojechać w eskorcie wojsk ONZ oraz Izraela. Ich jeepy najeżone antenami i pistoletami maszynowymi oraz pełna gotowość bojowa żołnierzy zapewniają bezpieczeństwo kilkusetosobowej grupie pielgrzymów, którzy przyjeżdżają tutaj z całego świata, aby przez parę godzin w zadumie i modlitwie przystanąć przy pierwszych rozdziałach Ewangelii św. Mateusza.

Adwent przywołuje to bezludne miejsce, w którym brzmiał *głos wołającego na pustyni*, wzywający do przemiany. Ten głos nie należy

jedynie do minionej przeszłości. Jego mądrość może i powinna być odkryta w naszej teraźniejszości, dotyczy bowiem wydostania się „ze stanu rozproszenia oraz powrotu do tego, co istotne”, dotarcia do korzeni samego siebie. „Jeżeli bowiem nie dotrzemy do samego wnętrza — naucza kardynał Jean Marie Lustiger — nie usłyszymy dalszych słów” orędzia zbawienia, które mówi, że ludzie „są przeznaczeni do tej samej miłości i pogrążeni w tych samych grzechach”. Wezwanie Jana do nawrócenia można przyjąć w sposób bardzo osobisty. Kto bowiem chce być wyznawcą Boga, zobowiązany jest codziennie od nowa przemieniać siebie, być gotowym do zmiany swego sposobu myślenia, sprawdzać czystość własnych intencji. *Dla Niego prostujcie ścieżki, ścieżki życia, które jakże często są pokrętne, mroczne, prowadzą donikąd.* Nawrócenie się nie jest aktem jedno-razowym. Wiara nie jest nim także. Jawi się w konsekwentnym ponawianiu wyboru pierwszego, o czym lapidarnie napisał w „Jeźdźcu” Jerzy Liebert: „Uczyniwszy na wieki wybór, w każdej chwili wybierać muszę”.

W świecie ludzi o rozchwianych wartościach, wśród deprawacji moralnej i niejasnych postaw, gdy dochodzi do głosu agresja, głupota i pazerność ożeniona z cwaniactwem — zło rozpełzło się po drogach, domach, miejscach pracy oraz odpoczynku — i rośnie. To ono w wieloraki sposób dosięgnęło życia młodych i starych, a teraz odbiera ludziom nadzieję, siłę do życia, perspektywę jutra. Jan, który poświadczając swoim życiem wypowiedane słowa, *nosił odzienie z sierści wielbłądziej i pas skórzany około bioder, a żywił się szarąnczą i miodem leśnym,* wołał o odnalezienie wartości wewnętrznych, duchowych; o gotowość do ofiar; o wierność przyjętym zasadom. Odejście od tych słów czyni życie nieporadnym i kruchym. Czyż nie takim stało się na naszych oczach?

Pytanie o nasze dzisiaj i jutro jest pytaniem o człowieka. Nie o człowieka, który chce być miarą wszechrzeczy, nawet nie o „człowieka z marmuru” ani „z żelaza”, ale o człowieka nawróconego, który odnalazł wartości pierwsze, przyłgnął do nich i je wyznaje swoim życiem.

GDZIE GŁÓWNY BOHATER

Pojawił się człowiek postany od Boga — Jan mu było na imię. Przyszedł on na świadectwo, aby zaświadczyć o światłości, by wszyscy uwierzyli przez niego (J 1,6-7).

Ostatni tydzień przed wigilią. Dni wypełnione zabieganiem i krzątaniem, wystawane w sklepach po zakupy na stół i pod choinkę; dni ostatnich listów z życzeniami i kart wysyłanych do bliskich, dalekich. Nadchodzące Boże Narodzenie służy póki co jako muzyczne tło w domach towarowych.

Pewien Hindus — opisuje ks. Jerzy Mirewicz — zwiedzając europejskie miasta w okresie Bożego Narodzenia i obserwując zachowanie się ich mieszkańców powtarzał uparcie: „Gdzież w tym wszystkim jest Chrystus”. Przybył nie w charakterze turysty, lecz jak Mędrzy ze Wschodu. Łączyło go z nimi pragnienie sprawdzenia wartości znaku. Dla tamtych była to gwiazda na niebie, dla niego zdanie misjonarza: iż „kultura przeniknięta chrześcijaństwem jest gwiazdą dla całej ludzkości”. Swoje doświadczenia zamknął w jednym zdaniu: „Europa chrześcijańska — to racjonalnie i estetycznie skonstruowany żłóbek, ale pusty”.

Na ile dni przed świętami wprowadzają wszystkich zakrzątanych także w tajemnicę Boga nadchodzącego? Boga, który przyjmuje postać Dziecka. Liturgia Kościoła w tych dniach wznosi od wieków ponawiany okrzyk: *Gaudete... Dominus enim prope est — Radujcie się... Pan bowiem jest blisko.*

W adwencie — czasie oczekiwania na Jezusa — przywoływana jest niezwykła postać Jana. Wśród skał i martwego pejzażu pustyni wyrasta ona jak olbrzym rzucający słowami, które rozchodzą się niczym gromy po całej judejskiej okolicy. Ich siła jest tak wielka, że słysząc je w odległej o dziesiątki kilometrów Jerozolimie. Hałas i gwar miasta nie są w stanie zagłuszyć Wołającego. Jego głos unosząc się nad całą krainą przerywa ich codzienność, wyprowadza

z domów na próg, a potem przymusza do wędrówki w żar i niewygodę pustyni. Miejsce samotności i śmierci zamienia w święty przystanek — zatłoczony i zasłuchany. W czym tkwi moc tego wołania? Ilu posługujących się słowem — począwszy od rodziców, małżonków, wychowawców, petentów, wydających polecenia i rozkazy, a skończywszy na księżach, pisarzach, dziennikarzach, mówcach, politykach — pragnęłoby tamtej mocy i skuteczności wypowiedzi. Gdyby podejrzeć *głos wołającego na pustyni*.

Samotność i asceza, czyny i modlitwy, przyłgnięcie całym sobą do wartości pierwszych spowodowały, że Jan stał się jakby jednym krzykiem skierowanym do serc, którym obwieszcza jak dawniej tak i dzisiaj: *Pośród was stanął już Ten*, na którego czekacie. Jego zaproszenie, aby wejść w świat Boga, kryje w sobie świat miłości; tej samej miłości, która przyciągnęła Jego Syna na ziemię. Nasz świat jest zimny i pełen agresji, ponieważ ogromnieje pustynia serc. W gąszczu spraw ważnych i drobnych zgubiono radość życia?

Święta — to kolejne wkroczenie indywidualne i wspólne w świat miłości i radości, bowiem

„Radość jest funkcją miłości.

Kto posiada uncję miłości,
otrzyma uncję radości.

Kto posiada tonę miłości,
otrzyma tonę radości.

A jeśli miłość jest bezgraniczna,
to i radość będzie bezmierna”

— konkluduje współczesny chiński intelektualista John Ching — Hsiung Wu.

W atmosferze przygotowań można przeoczyć powód i sens świętowania. Celebracja Bożego Narodzenia tylko zewnętrzna pozostawi zaledwie pamięć podarków, znikający zapach zielonego drzewka i ości po karpniu w galarecie. Jeszcze raz stanie się jedynie pretekstem dla sentymentalizmów, wzruszeń, tanich pocieszeń oraz luksusy uznania siebie (raz w roku) za człowieka dobrego.

Gdy zatem będzie przygotowany już dom, choinka, stół, opłatek, zwołane grono rodziny i przyjaciół celebrujących święta, aby nie zaistniał gest pusty, nie może zabraknąć głównego bohatera, Jezusa Chrystusa.

BOŻE NARODZENIE

SENS ŚWIATA PRZYSZEDŁ

I znaleźli Maryję, Józefa oraz Dzieciątko złożone w żłobie (Łk 2,16).

Boże Narodzenie odnotowane w Biblii: *I znaleźli Maryję, Józefa oraz Dzieciątko złożone z żłobie*. Ewangelista Łukasz ukazał Wydarzenie w kilku słowach. Trzy imiona i jeden sprzęt. Pióro nie zaważało się, aby napisać więcej.

Boże Narodzenie rozważane w IV wieku: „Bezcielesny przyjmuje ciało, Słowo otrzymuje kształt, niewidzialny daje się widzieć, nietykalny pozwala się dotknąć, wieczny poczyną się w czasie. Syn Boży staje się Synem człowieczym” — św. Grzegorz z Nazjanzu.

Boże Narodzenie „nowoczesne” — wieczór i dwa dni świątecznej neurozy. Dokąd pójść? Co ze sobą zrobić? Obrzędowość sprowadzona do folkloru. Celebrowane liczmany, gesty, potrawy — rytuał pusty. Komu takie święta, komu?

Boże Narodzenie dzisiaj — to ciągle wstrząsająca tajemnica odsłaniająca Boga, który zstąpił na ziemię i przyjął oblicze człowieka. „Święto nad świętami — jak pisał Tomasz z Celano — ponieważ Bóg stał się małym dzieckiem i ssał mleko matki, jak każde inne dziecko”. On sam chciał w tę noc stać się darem dla ludzi. Siebie samego dał. To człowiek, ludzkość jest powodem betlejemskiego misterium. Wszyscy zostaliśmy w nim zanurzeni.

Nie dajmy się zwieść rzewnym obrazem Niemowlęcia. Ono przyszło, aby dać inną perspektywę naszym dniom. Jego obecność poszerza życie i ukazuje głębię dalszą niż tylko granice zakreślone przez narodziny i śmierć. Św. Jan określa te urodziny specyficznie: *Słowo ciałem się stało (J 1,14)*. *Słowo* — logos po grecku — znaczy „sens”. Sens świata przyszedł do nas, można go nieledwie dotknąć i zobaczyć. Ale to mało — trzeba jeszcze uwierzyć.

RODOWÓD

Józef wziął Dziecię, Jego Matkę i wrócił do Izraela... Przybył do miasteczka zwanego Nazaret i tam osiadł (Mt 2,21.23).

Zapatrzeni podczas świąt Bożego Narodzenia na Niemowlę złożone w żłobie, dzisiaj podnosimy wzrok na stojących najbliżej Dziecięcia — Maryję i Józefa. Ucieczka z ubóstwa i prowizorki betlejemskiej w niedolę właściwą tułaczom i cudzoziemcom daleka jest od rzewnych i wzruszających kołęd.

Powracają z emigracji.

Ich nowe życie ukrył Ewangelista Mateusz lakonicznie w słowie *osiadł*. Ono mieści w sobie trzydzieści lat świtów i zmierzchów; zapatrzania w Syna małego, dorastającego, męskiego; trzydzieści lat życia, pracy i odpoczynku Boga — Człowieka wśród ludzi, Jego rozmów z Ojcem, z bliskimi i dalekimi, posiłków, codzienności; trzydzieści lat krzątania, kłopotów i radości Rodziny Świętej, mieszkającej w skupisku mniejszym niż przysiółek. *Miasteczko Nazaret* w czasach Jezusa nie było nawet wioską. Archeologowie odkryli w tym miejscu małą osadę z dwudziestu domków, a właściwie obudowanych skalnych grot, w których doliczyć by się można półtorej setki mieszkańców.

Jezus chciał mieć rodzinę. Pragnął w niej wzrastać i *rozwijać się*. Żyjąc na ziemi tutaj stawiał pierwsze i następne kroki w bezinteresownej miłości. Jakim był Jego dom, skoro ukształtował tak wielkiego, bliskiego, ludzkiego Człowieka? Wszak nie był to tylko świat wewnętrzny, uformowany w Nim wyłącznie przez Boga. Współtworzył Go rodzinny dom.

Z domu rodzinnego wchodzi człowiek w życie i takim zazwyczaj jest, jakim go ukształtowała rodzina. Takimi są ludzie i społeczeństwa, jakie są ich rodziny. „Rodzina otrzymała od Boga posłannictwo, by stać się pierwszą i żywotną komórką społeczeństwa” — przypomina Sobór Watykański II (Dekret o apostołstwie świeckich

11). Utworzona przez Boga jest bezwzględną koniecznością dla rozwoju zdrowego, normalnego człowieka i społeczeństwa.

Bóg wyjawia w Biblii swoją więź z ludźmi także za pomocą stosunków rodzinnych.

W rodzinie Swego Syna ukazuje On i dzisiaj, że miłość jest możliwa, że poświęcenie jest możliwe, że wierność jest możliwa, że bezinteresowność jest możliwa. Dla rodziców i dzieci każdy dzień jest sposobnością do dobrowolnego daru z siebie nawzajem, a w konsekwencji ofiarowania siebie innym. Rodzina to naturalna i pierwsza szkoła miłości bezinteresownej. Wzorem jej Święta Rodzina.

Czy moja rodzina jest z tego Rodu?

CZYTAJĄCY W GWIAZDACH

Mędrcy ze Wschodu przybyli do Jerozolimy i pytali: „Gdzie jest nowonarodzony król żydowski? Ujrzelśmy bowiem jego gwiazdę na Wschodzie i przybyliśmy oddać Mu pokłon” (Mt 2,1-2).

Mędrcy przybywając do Jezusa złożyli królewskie dary: złoto, kadzidło i mirrę, dlatego tradycja nałożyła na ich czoła korony. To niepojęte spotkanie uczonych tamtego czasu z niepozornym Dzieckiem zostało poprzedzone przez wydarzenie. Na nieboskłonie zobaczyli nową gwiazdę. Mogliby przejść obok tego zjawiska odnotowując je w księgach. Oni jednak w świetle płonącej kuli odczytali znak od Boga, usłyszeli Jego wezwanie. Opuścili więc swoje księgi i zaciszne miejsca badań; bogate komnaty obite kobiercami, nasycone zapachem kadzideł i wonnych olejków; ustabilizowane życie otoczone szacunkiem i troską. Wyruszyli w nieznane, przedzierając się przez skwar dni, zimne noce, niebezpieczeństwa pustyni, niewygodę i trud wielomiesięcznej podróży. Benozzo Gozzoli przedstawi na ścianach kaplicy pałacu Medici Ricardi trzech magów — mędrców i kapłanów: młodego, dojrzałego i sędziwego w paradnym pochodzie — jakże dalekim od prawdziwego.

Oto stają w niepozornym domu, wśród rozwieszonych do suszenia pieluszek. Co działo się w nich, gdy zobaczyli Dziecko, o którym wyczytali w gwiazdach? Co mówiło im serce, które zapewne nie było spokojnie pod szatami okrytymi bezcennymi, kolorowymi haftami?

Przy zółbku stanęli najpierw wezwani pasterze, a potem — wezwani mędrcy. „Od samego początku objawienia się naszego Boskiego Zbawiciela znalazły się tylko dwa rodzaje ludzi, którzy Go naprawdę znajdują: ci, którzy nie wiedzą, i ci, którzy wiedzą, ale nigdy ci, którym się wydaje, że coś wiedzą — mówi bp Fulton Sheen. — Boskość jest tak głęboka, że pojmuje ją tylko krańcowość prostoty lub mądrości. Między mądrymi i prostymi istnieje coś wspólnego — ich pokora. Mądry człowiek jest pokorny, ponieważ wie, że bez względu

na to, jak głęboką posiadzie wiedzę, Boskość zawsze będzie głębsza. Prosty zaś człowiek jest pokorny, ponieważ wie, że Boskość jest tak głęboka, iż nawet nie próbuje zbytńo dociekać jej tajemnic. Tylko mędrak pełen zarozumiałości, o powierzchownej wiedzy, jest tak przekonany o swej mądrości, że nie zdaje sobie sprawy, iż stał się niewolnikiem własnej ograniczoności sądząc, że nie będzie mógł znaleźć nic głębszego od siebie”.

Nowonarodzonego spotykają pasterze prostego serca i magowie pełni głębokiej mądrości. Pokorni i wolni.

A my — przywiązani do terminów w kalendarzu, „do pieniędzy w portfelu, do koni w samochodzie”, do rzeczy i do ludzi — jesteśmy ludźmi prostego serca czy głębokiej mądrości?

Bóg ukryty w znakach i wydarzeniach nadal przychodzi. Każdy ma lub będzie miał swoją gwiazdę, jak tamci. Każdy jak oni może usłyszeć Jego wezwanie. Tylko czy naszymi są słowa z „Nieudanych rekolekcji paryskich” Gałczyńskiego:

„żebym jeśli za oknem moim
któreś nocy mocniej zagra galilejska fletnia,
umiał natychmiast odejść...”

Jak blisko od medrców do współczesności.

CZAS POSTU

KRAŻENIE ZŁA

Duch wyprowadził Jezusa na pustynię... (Mt 4,1).

Rozpoczyna się wielki post. Liturgia Kościoła przyprowadza do Chrystusa sądownego, męczzonego, krzyżowanego. Zachęca, aby podejść do Niego blisko; wtedy zrozumiemy bowiem czym jest życie i śmierć, czym czas i wieczność, czym jest miłość i gdzie są jej granice. Na początku tej drogi odsłania tajemnicze wydarzenie, jakie miało miejsce w życiu Chrystusa. Oto *Duch wyprowadził Jezusa na pustynię, aby był kuszony przez diabła.*

Pustynia — kiedyś miejsce proroków, mnichów i świętych; dzisiaj modny temat w filmie i literaturze, podejmowany przez Antonioniego i Arrabala, Caretta, Saint-Exupery'ego i Marie Debrel lub bezkresna przestrzeń dla morderczych rajdów samochodowych.

Pustynia według Biblii jest „miejszem schronienia dla złych potęg”. Właśnie dla nich poświęcano kozła, na którego arcykapłan Starego Testamentu składał symbolicznie grzechy całego ludu. Po czym wyganiano zwierzę z obozu na zatracenie, dla Azazela.

Pustynia — na niej błąkał się przez czterdzieści lat Izrael. Na niej buntował się i gubił Boga, na niej odradzał się i odnajdował Go.

Pustynia — miejsce kuszenia Jezusa. Tradycja umiejscawia je w Dżebel Qarantal, w pobliżu Jerycha. Jest to góra kredowa męt-nobiałego koloru, nad którą krążą orły i gdzie wyją szakale. Miejsce, z którego „zda się, uciekło wszelkie ludzkie życie”. Miejsce modlitwy i zamyślenia. Na nim Jezus zostaje poddany próbie: *Jeśli jesteś synem Bożym, powiedz, żeby te kamienie stały się chlebem... Rzuć się z narożnika świątyni w dół, aniołom bowiem rozkaże o tobie, a na rękach nosić cię będą... Dam ci wszystkie królestwa świata i ich przepych, jeśli upadniesz i oddasz mi pokłon.* Bóg i szatan. Dwa odległe krańce przyciągnięte do jednego punktu. „Niepojęta i straszna jest scena kuszenia Jezusa. Gdyby ją zrozumieć, można by posiadać czas-

tkę tajemnicy nieba, ziemi i piekła”. Jednak ma ona odsłonić człowiekowi tajemną rzeczywistość, która i jego dotyka — świat kuszenia. Do każdego bowiem przychodzi wewnętrzny „głos” nakłaniający do grzechu.

W trzech kuszeniach Jezusa zbiegły się wszystkie pokusy świata, które chciały i chcą zniewolić wszystkich ludzi. W obietnicach szatana zawarte są najgłębsze pokłady ludzkiej natury: zmysłowość, chciwość i pycha pragnąca wyjść poza ramy śmiertelności. To samo pisze św. Jan w jednym ze swoich listów, że nie od Boga, ale od świata pochodzą: *pożądliwość ciała, pożądliwość oczu i pycha żywota* (1J 2,16).

Oto motor wszelkich ludzkich szaleństw kolejnych pokoleń. Wielki Inkwizytor u Dostojewskiego powie: „te trzy pokusy przewodzą całej historii i ukazują trzy obrazy, do których ograniczają się wszystkie nierozwiązalne historycznie przeciwieństwa ludzkiej natury na całej przestrzeni ziemi”.

Trzy kuszenia — trzy bramy do świata niewoli prowadzące wielkich i małych, wykształconych i prostych, świętych i grzeszników, młodych i starych... Trzy chwytły szatana zdobywające człowieka w samotności i w tłumie, w zabawie i płaczu, w pracy, w odpoczynku i na modlitwie. Jakieś z kuszeń Jezusa jest udziałem każdego. W człowieku, który odpowie na nie „tak”, rozpoczyna się krążenie zła.

Pismo Święte nigdy nie stawia szatana na pierwszym planie. Chrystus mówi o nim jednak z całą powagą. Nie wszystko można wytłumaczyć psychologią głębi, i zła nie da się sprowadzić do słabości natury ludzkiej, uwarunkowań społecznych czy genetycznych. Stąd istnieje potrzeba korygowania swego rozumienia świata i osądzania działających w nim mocy według miar religijnych. Istnieje moc dobra i zła. Według słów Baudelaire’a „przebiegłością szatana jest wmawianie, że on nie istnieje”. Gide dodał: „Diabeł, gdyby mógł, powiedziałby: jestem ten, którego nie ma”. Szatan. Zbuntowany i upadły anioł przychodzi z daleka przybierając różne twarze i ofiarowuje swój świat, który jawi się częstokroć niby dobro. Kto go wybiera, staje się łupem Złego.

Świat jest polem walki. Każdy jest polem walki, jego umysł, serce i ciało — w nim ścierają się dobro i zło. Żaden teren nie jest definitywnie zdobyty przez jedną czy przez drugą stronę... Chrystus, który poznał osobiście smak i moc kuszenia, rozumie człowieka, bowiem jest Mu bliski na każdej pustyni. Z tamtego niepojętego zda-

rzenia wnosi w jego dni wyzwanie do walki, nadzieję i moc. Zaś w czasie kuszenia nie odmawia Swej obecności.

UBRANY W ŚWIATŁO

Jezus wziął ze sobą Piotra, Jakuba i Jana, zaprowadził ich na górę wysoką... i przemienił się przed nimi. Oblicze Jego zajaśniało jak słońce, a Jego szaty stały się olśniewające jak światło (Mt 17,1-2).

Z tonacji fioletu, postu i pokuty przedziera się ewangeliczne wydarzenie pełne światła, radości i zachwytu. Oprócz trzech apostołów (prawo bowiem nakazywało trzech świadków dla potwierdzenia ważnego faktu) Tabor — „Góra gór” — niemy uczestnik zdarzenia. Rozsiadła się w żyznej dolinie Ezdrelon oddzielna, wysoka, kopiaста. Porośnięta zawsze zielonym, niskim lasem, w niczym nie przypomina poszarpanych, tatrzańskich grani. Parę godzin wspinaczki na szczyt zastępuje dzisiaj kilkuminutowa jazda szेरutem, która na ostrych zakrętach przyprawia o zawrót głowy. Ze szczytu w sprzyjających okolicznościach można niekiedy na horyzoncie zobaczyć na wprost wiecznie ośnieżoną Górę Hebron, po lewej przeczuć pas Morza Śródziemnego. Blisko po prawej srebrzysta plama Jeziora Galilejskiego. Na całej górze rozbrzmiewa głośna orkiestra świerszczy.

W tej scenerii odstoniło się prawdziwe niebo. Na chwilę Jezus okryty ubogą szatą, wypłowiata od słońca i deszczu, odrzucił swoje przebranie pokornego cieśli z Nazaretu, zdjął maskę codzienności i ukazał się takim, jakim był naprawdę. Ubrany w światło jak w płaszcz ukazał fresk przyszłości.

Obłok, blask, głos, zachwyt, upadek na twarz i dzwoniące w wielkiej trwodze zęby — teofania z Synaju i teofania z Taboru są bliźniaczo podobne.

Apostołowie doznali szczęścia, które przeraża. Radości, jaka zamyka usta. Gdyby słowa ludzkie nie były tak małe i nie odpadały nieporadnie od oglądanej chwały, którą miały nazwać, może zatrzymałyby rąbek prawdziwego nieba? A tak zostały tylko okruchy i żalotne, nieporadne zawołanie: *Dobrze nam tu być*. Istnieją granice słowa i niemożność przekazania światów większych niż one. Jednak

pamięć tej „odsłony” pozostała jako dar Przyjaciela: im — na drogę do Kalwarii, nam — na wydeptane ścieżki codzienności.

Każdy dotknął lub dotknie w swoim życiu nieba. Może była nim lub jest twoja miłość, lub miłość do ciebie, może wydarzenie, odkrycie albo zachwyty — tylko tobie wiadome. Bóg wyprowadza każdego na górę Tabor i uchyla przed nim rąbka Swej tajemnicy. Trzeba pilnować tego znaku, żeby nie wyblakł w pamięci. Pielęgnować ten „kawałek nieba” dany na trudne dni.

NIE ZABIJAĆ PRAGNIENIŃ

Jezus zmęczony drogą siedział przy studni (Jakuba). Nadeszła tam kobieta z Samarii, aby zaczerpnąć wody, Jezus rzekł do niej: „Daj Mi pić... O gdybyś wiedziała, kim jest Ten, kto ci mówi: »Daj Mi się napić« prosiłabyś Go wówczas, a dałby ci wody żywej... Każdy kto pije tę wodę, znów będzie pragnął. Kto zaś będzie pił tę wodę, którą Ja mu dam, nie będzie pragnął na wieki...” (J 4,6-7.10.13-14).

Biblijna studnia Jakuba niezmiennie znajduje się nieopodal piaszczystego gościńca. Nadal czynna. Dzisiaj trzeba jednak przejść przez bramę, furtkę, ścieżkę między żywopłotem, potem schodami w dół na placyk, który otaczają rozpoczęte w ubiegłym stuleciu ściany i filary nie ukończonego kościoła. Przed oczami dwa malutkie zadaszone domki, których progi zaczynają strome schody w dół. Okazuje się, że jeden z nich to zejście, drugi wyjście z kaplicy, położonej o piętro niżej, w której centralnie znajduje się studnia, o której pisze św. Jan. Nietknięta przez tysiąclecia. Głęboka jak wtedy — trzydzieści parę metrów. Wiadro z chłodną, orzeźwiająca, taką samą jak w Ewangelii, wodą, wyciąga tym razem mnich obrządku greckiego i podaje pielgrzymom, z tą tylko różnicą, że linka jest nylonowa. W ostatnich latach studnia, która położona jest na terenie obecnego miasta Nablus, zamieszkanego przez Samarytan i Palestyńczyków, z powodu niepokojów niedostępna jest dla pielgrzymujących.

Przy tej studni w samo południe Jezus, przechodzień o wyschniętych wargach, poprosił o łyk wody, a potem wdał się w rozmowę z nieznaną. Oto Bóg, który daje w nadmiarze człowiekowi i światu, jawi się jako Bóg proszący. Dawać bowiem, to często umieć przyjmować od drugiego.

Przy tym pulsującym źródle spotkały się wielorakie pragnienia — te, które przyniosła z sobą kobieta z Samarii oraz te, jakie nosił w sobie Jezus. Znała na pamięć tę drogę w dół, każdy występ i le-

żący kamień. Znała smak miłości i jej różne twarze: miała bowiem pięciu mężów, a jej ostatni towarzysz życia nie był mężem. Czyniła, jak wielu, różne rzeczy, wszak rozliczne są pragnienia ludzkie. Spełnione błędą, oddalają się i nie sposób ich zatrzymać. Na dzień każdego nasycenia rodzi się stan niedosytu i pragnienie — od nowa. Czyżby inny był porządek natury, świata, skoro pogoń za ostatecznym spełnieniem jest drogą donikąd? Prośba Samarytanki, która nie w pełni zdaje sobie sprawę z wypowiedzianej głębi: *Daj mi tej wody, abym już nie pragnęła* (J 4,15), skierowana do podróżnego opartego o cembrowinę studni, a który odkrywa jej bolesny sekret, jest bliska tak wielu.

Pragnień w człowieku nie są w stanie wypełnić ani przyjemności, ani piękno: „Niespokojne jest serce nasze, dopóki nie spocznie w Tobie, o Boże” — mówi św. Augustyn. Jedyne Bóg jest w stanie nasycić wszystkie ludzkie głody. Każdy jest człowiekiem pragnień, ale w nim jedno pragnienie niechaj góruje i streszcza wszystkie inne, nie tłumiąc żadnego z nich — pragnienie Boga. „Rodzące się w człowieku pragnienia: ciała, serca, ducha mają to samo źródło — tchnienie miłości Tego, który bezustannie rodzi każdego, posyła do świata, nakłania do tworzenia i jedności” — napisał Michel Quoist. *Woda, którą ja dam, stanie się źródłem wody wytryskującej ku życiu wiecznemu* — niezmiennie przypomina Jezus, który nie chce zabijać pragnień w człowieku, jednak oczekuje, że będzie on czerpał z takiego źródła, w którym On, Pan, jest obecny.

BÓG PRZY PRACY

Jezus przechodząc ujrzał pewnego człowieka niewidomego od urodzenia... Splunął na ziemię, uczynił błoto ze śliny i nałożył je na oczy niewidomego, i rzekł do niego: „Idź, obmyj się w sadzawce Sилоam”... On odszedł, obmył się i wrócił widząc (J 9,1.6-7).

Jezus przechodząc drogą ujrzał pewnego człowieka. Nic nie umyka Jego uwadze. To co mogłoby być tylko zwykłym przypadkiem, staje się miejscem spotkania z Bogiem. Los niewidomego zmienia się w jednej chwili. Oto Jezus wyprowadza go z ciemności do światła. „Wierzyć — pisze Pierre Talec — to uczyć się odczytywać zdarzenia własnego życia jako znak przejścia Boga. Pozwala się Bogu przechodzić. Własne życie czyni się owym przejściem. Aż któregoś dnia staje się oko w oko z Przechodniem niepodobnym do innych. Wierzyć to zgodzić się, że owego dnia otworzymy oczy i wyszeptamy — czemu nie? — »Dzień dobry, Boże«”.

Kaleka z najuboższej dzielnicy Jerozolimy przyjmuje znak, który dzisiejszego człowieka wprowadza w zakłopotanie. Jezus spluwa. Niezbyt to estetyczne. Śliną rozrabia błoto, aby posłużyło do celów leczniczych. Zaproponowany sposób uzdrawiania u wielu budzi odrazę. Aby zrozumieć gest Jezusa, należy przywołać praktykę starożytnych, którzy przypisywali ślinie działanie lecznicze. Pliniusz odnotowywał, iż wiele zwierząt leczy swoje rany liżąc je. Śliny używali także rabini jako środka leczniczego przeciw chorobom oczu (Dorothea Forstner). Jezus nawiązuje do tych praktyk.

Chrystus uzdrawiając mógł wypowiedzieć jakieś ważne słowo, które podniosłoby rangę niezwykłego czynu lub dokonać efektownego pokazu, choćby celebrując go w spowolnieniu, jak w zwolnionym kadrze filmowym, żeby wszyscy widzieli, zapamiętali i nie mieli wątpliwości. Jednak „odkąd Bóg urodził się na słomie i umarł na drzewie, przejawia się w używaniu znaków ubogich. Ich ubóstwo jest wymowne — pisał autor „Wierzyć dzisiaj”. — Bóg nie narzuca

się przez wielkie wyczyny. Proponuje gesty ubogie, które wymagają przejrzystości i rozpoznania... Wejść na drogę wiary, to przyjąć, że się zobaczy, jak Bóg będzie się objawiał poprzez znaki ogołoczone z efektów; znaki, których forma zewnętrzna będzie nas dezorientowała”.

Relacja ewangeliczna o cudzie przywrócenia wzroku oraz wielu innych cudach Jezusa wprowadza dzisiejszych ludzi w szereg problemów, budzi w nich rozterkę lub niedowierzenie. Wielu odbiera je jako naiwny opis, postrzega w nich mitologiczną rzeczywistość, która nawet przy najlepszej woli nie mieści się w racjonalno-technicznym świecie. Pozostajemy pod wpływem sposobu myślenia ukształtowanego przez nauki przyrodnicze, stąd przede wszystkim nasza koncepcja i próby odpowiedzi na możliwości zawieszenia czy przekroczenia praw natury w nadzwyczajnych wypadkach. Takie podejście obce jest Biblii, która jest księgą wiary. Obecny w niej sposób myślenia jest odmienny od naszego, inne jest także podejście do przyrody, inne rozumienie historii (zob. *Katolicki katechizm dorosłych* wydany przez Niemiecką Konferencję Biskupów, Poznań 1987). Patrzenie na świat z punktu widzenia praw przyrody jest tylko jednym, ale nie jedynym sposobem pojmowania rzeczywistości. „Trzeba pamiętać — pisze Karl Rahner — że rzeczywistość, jaka otwiera się przed człowiekiem, przypomina budowlę o wielu poziomach i to tak skonstruowaną, że żaden z jej poszczególnych fragmentów nie stanowi całości samej dla siebie, ale wszystkie należą do jednej spójnej całości otwierającej się ku górze i przekraczającej możliwości działania właściwe każdej z jej poszczególnych części”.

Wiara w Boga liczy się z możliwością i rzeczywistością niezwykłych ingerencji Bożych w bieg czasu i historii. Biblia odsłania je jako liczne manifestacje samoudzielania się Boga. Widoczne jest ono także w orędziu Jezusa oraz w Jego niezwykłych czynach, cudach jakich dokonał, a których nie sposób wyeliminować z Jego życia.

Każdy cud Jezusa jest spójny z Jego nauką. Nie jest on dowodem oczywistym, ale znakiem, którego pełny sens trzeba odczytać z pozycji dobrej woli. Symbolizuje rzeczywistość duchową nie ze swej natury, ale jako akt realizujący łączność między Bogiem i człowiekiem. Sens nadaje mu kontekst religijny. Cud jest znakiem budzącym zdziwienie — pisał św. Augustyn — otwiera na rzeczywistość transcendentną. Jest także znakiem epifanijnym, bowiem objawia Boga. Ukazuje Go i Jego moc. Ów znak — *semeion* odsłania również Jego działanie w wymiarze naszego ziemskiego doświadczenia. Uka-

zuje niejako Boga przy pracy, którą podejmuje on z troski o zbawienie człowieka w jego codzienności. Wieści Jego miłosierdzie i dobroć. Cuda ewangeliczne głoszą, że nadszedł Mesjasz ofiarowując wyzwolenie człowieka z grzechu oraz Królestwo Boże. Są także znakiem prawdy zawartej w wypowiedziach Jezusa oraz Jego jedności z Ojcem.

Cud nie ma charakteru absolutnego, dlatego nie musi być wydarzeniem jednakowo dostępnym dla wszystkich. W przytoczonej perykopie odczytują go uczniowie i niewidomy, jednak nadal pozostaje nieczytelny dla sąsiadów, rodziców ślepego i faryzeuszów. Cud to dar, w którym „Bóg jest dostępny dla każdego, kto potrafi kochać, ukrywa się natomiast przed tym, kto tylko rozumuje”.

JEZUS I KWANTY

Jezus przechodząc ujrzał pewnego człowieka niewidomego od urodzenia... Splunął na ziemię, uczynił błoto ze śliny i nałożył je na oczy niewidomego, i rzekł do niego: „Idź, obmyj się w sadzawce Si-loam”.... On odszedł, obmył się i wrócił widząc (J 9,1.6-7).

Wyciągnięty kostur, który do tej pory zakreślał krąg życia, wypada z ręki. Spowity w ciemnościach od urodzenia, niespodziewanie wprowadzony przez Jezusa w snop światła. Do świata dźwięku i dotyku dodano bogactwo przestrzeni, kształtu i kolorów. Z nieporadności i cierpienia — skok prosto w zaradność i szczęście. Niektórzy do dzisiaj szukają karty chorobowej niewidomego, który każdego poranka stawał przy wejściu do świątyni, chcą na niej postawić przynajmniej znak zapytania: czy naprawdę mogło się to wydarzyć?

Ks. Włodzimierz Sedlak interpretuje opisany cud następująco: „Uzdrowienie ślepeca to uruchomienie elektryczno—chemiczne rodopsyny w oku, obudzenie przekazu nerwowego z oka do ośrodków wzrokowych mózgu. Jezus widzi w każdej chwili sytuację, orientując się wśród kwantowych zjawisk związanych z pracą oka. Bóg bowiem jeden tylko zna się na anatomii submolekularnej i kwantowej drodze widzenia. Patrzymy naszymi kryteriami na uzdrowienie w rozmiarach makroanatomicznych i fizjologicznych. Bóg może pofastrygować rozdarte lub zamierające kwantowe szwy życia... Materia nie jest tworzywem ograniczającym Jego moc, ale jest terenem Jego ingerencji”.

Niewidomy odzyskując wzrok zobaczył po raz pierwszy drogę, którą chodził od dzieciństwa, potem swój dom, a na końcu dobrą, pomarszczoną twarz swojej matki. Wydarzenia jakie towarzyszyły całej sprawie odsłaniają, że ujrzał także to najważniejsze, które „nie jest widoczne dla oczu”.

Dostrzegł zdarzenie, siebie, świat nie tylko w świetle ostrego słońca, ale i w świetle Boga. Swemu Wybawcy wyznał: »Wierzę, Panie« i oddał Mu pokłon (J 9,37). Od tej chwili schodzi ze stron Ewan-

geli. Nie wiadomo, jakie były jego losy. Czy jego wyznanie było zawsze stanowcze i pewne? A może był podobny do wielu, których wiara nie ocala przed kolejnymi wątpliwościami? Czy powstały jakieś relacje z tymi, którzy wątpili? Co z tego wynika na dzisiaj? Może jako odpowiedź na rodzące się pytania warto przywołać rozważanie kardynała Józefa Ratzingera: „Jak wierzący musi odpierać wątpliwości narzucające mu się wciąż od nowa, tak również niewierzący doznaje wątpliwości w swojej niewierze; wątpi, czy istotnie ten świat jest jedyną i totalną rzeczywistością, jak to zdecydował się przyjąć. Nigdy nie będzie bez reszty pewny, że to, co poznał i uznał za całą rzeczywistość, jest nią w istocie, a czy jednak wiara nie jest prawdą i nie mówi prawdy. Tak więc jak wierzący widzi się stale zagrożonym przez niewiarę i odczuwa ją jako stałą pokusę, tak dla niewierzącego wiara stanowi ciągłe zagrożenie jego pozornie raz na zawsze zamkniętego świata. Jednym słowem — nie ma ucieczki przed dylematem egzystencji ludzkiej. Kto chce uciec przed niepewnością wiary, będzie musiał doświadczyć niepewności niewiary.

Nikt nie może ukazać drugiemu naocznie Boga i Jego Królestwa. Wierzący nie może też tego dokonać wobec samego siebie. Wierzący i niewierzący, każdy na swój sposób, ma udział w wątpieniu i w wierze, jeśli jest szczerzy wobec siebie i prawdy swego bytowania. I może to właśnie, chroniąc jednego i drugiego przed zamknięciem się w samym sobie, stanie się dla obu płaszczyzną komunikacji”.

A może stanie się początkiem kolejnego wydarzenia, które nastąpi, jak tamto, przy wejściu do świątyni jerozolimskiej?

WIDOWISKO NADZIEI

Kiedy Jezus przybył do Betanii, zastał Łazarza już od czterech dni spoczywającego w grobie... i zapałką. A Żydzi rzekli: „Oto jak go miłował!” A Jezus ponownie okazując wzruszenie przyszedł do grobu. Była to pieczara, a na niej spoczywał kamień. Jezus rzekł: „Usuńcie kamień!” Usunięto więc kamień... (Jezus) zawołał donośnym głosem: „Łazarzu, wyjdź na zewnątrz”. I wyszedł zmarły... (J 11,17.35.36.38-39.43-44)

Do grobu Łazarza, który znajduje się pod minaretem, wpuszcza dzisiaj dozorca muzułmański za dwa szekle lub jednego dolara. Dawne wejście, o którym wspomina Ewangelia, zamurowane. Można wejść innym, prosto z ulicy. Dwadzieścia cztery kamienne stopnie stromo spadają do pieczary, a potem jeszcze trzy do właściwego grobu. Na dawnym pustkowiu mury, ogrodzenia, domy pełne tarasów i cienia, oliwne gaje. Wszystko się tutaj zmieniło od tamtego wydarzenia. Ale słowa Ewangelisty ocalają sekret Betanii — tajemnicę ludzkiej przyjaźni Jezusa, który był wierny i delikatny, braterski i pełen troski. Jego boleść i łzy nadają tej przyjaźni boską wartość.

Zapałką. Chrystus według Ewangelii płakał dwa razy. Nad grobem Łazarza i nad Jerozolimą. Raz nad człowiekiem. Drugi raz nad jego dziełem. „Jezus wiedział, że wskrzesi Łazarza. Przeto nie nad zwłokami płacze... Może nad cierpieniem Łazarza w czasie choroby — pisze Didier Decoin — nad jego strachem, gdy zaczynała się agonia... Nad małym przerażającym zdaniem wypowiedzianym przez Martę,” kiedy Chrystus rozkazuje podnieść kamień: *Panie, już cuchnie. Leży bowiem od czterech dni w grobie* (J 11,39).

„Jego twarz jest zalana łzami. Jeden wyjdzie z za wrót śmierci — opowiada Luigi Santucci — ale ileż oczu spogląda z za ogrodzenia. Płacze nad tymi wszystkimi zmarłymi, którzy nie zostaną wskrzeszeni, nad wszystkimi kamieniami grobowymi, których nie dano Mu

odwalić na bezkresnym cmentarzu świata, nad tymi, których nikt by nie czekał, gdyby zmartwychwstali, i którzy śpią samotnie, bez kwiatów. Nad tą rzeką bez mostów, która dzieli żywych od umarłych i której Jego przypowieści i cuda nie zdołały osuszyć”.

I wyszedł zmarły... Umarły Łazarz odzyskał życie. Wskreszenie. Widowisko nadziei. Łazarz powrócił do zwykłego życia. Raz jeszcze przyjął człowieczy los. Jezus sięgając po swego przyjaciela za bramę śmierci, odsonił, że jej moc Go nie wiąże. Mocen jest stanować jak chce. Przy końcu czasów przywoła z powrotem swoich przyjaciół do życia.

I wyszedł zmarły... Po latach wróciła jednak po Łazarza śmierć i umarł po raz drugi. Ponieważ to zmartwychwstanie nie było podobne do zmartwychwstania Jezusa, gdyż *On raz zmartwychwstał, już więcej nie umiera*. Jednak, kiedy Łazarz odchodził powtórnie, patrzył w rozwierającą się pod nogami ciemność bez lęku. Bowiern już wiedział, że po drugiej stronie istnieje świat, a w nim Ten, który jest podstawą wszelkiego istnienia i że ma te same rysy twarzy, co jego Gość w Betanii.

Są jeszcze inne śmierci i inne wskreszenia. Czy nie ważniejsze? Ich tajemnicę odsłania w ciągle aktualnej, przejmującej modlitwie zmarły w 1173 roku Nerses Sznorhali: „Jak Łazarza, Twojego przyjaciela, złożono mnie martwego do grobu i nie od czterech dni, lecz od długich lat moja dusza znajduje się martwa w mym ciele. Spraw, niech we mnie zabrzmie Twój głos, bym usłyszał Twoje słowo, rozwiąż mnie z więzów, wyprowadź z mojego domu ciemności”.

TESTAMENT UMIERAJĄCEGO BOGA

A kiedy przyszli na miejsce zwane „Czaszką” ukrzyżowali Jezusa i dwu złoczyńców (Łk 23,33).

Niedziela Palmowa pachnie zielenią świętych palm i wierzbowych gałązek z baziarnicami. Ingres Jezusa nie jest jednowymiarowy. Uroczysty wjazd wśród czci i wesela do Jeruzolimy przemieni się w orszak poniżenia i smutku wstępujący na Golgotę. Tydzień wypełnia: entuzjazm, triumf, miłość, opuszczenie, zdrada, oskarżenie, sąd, konanie, chwała.

Zaraz po okrzykach uwielbienia i radości zrodzą się w tych samych gardłach wołania pełne nienawiści. Niedziela z palmami rozpoczyna Wielki Tydzień, w którym przed naszymi oczami wyrośnie krzyż. Krzyż — księga ksiąg. Księga nagiego ciała, przybitego do drzewa, w której można odczytać, czym jest miłość, czym życie, czym śmierć, czym wieczność. Dla wielu to tylko dekoracja. Starożytni przy wypowiedaniu nazwy tego narzędzia śmierci trzęśli się z grozy. Z tego słupa hańby umierający Jezus wypowiedział osiem ostatnich „słów” pełnych miłości i miłosierdzia:

Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią.

Krzyż Chrystusa ukazuje, że zło wybrane przez człowieka dotyka Boga osobiście. Krzyż jest ceną grzechu. *Przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią.* Jezus jeszcze w obliczu śmierci szuka pretekstu, aby uwolnić każdego i wszystkich razem od ciężaru winy. Jego miłość jest silniejsza od niszczącego Go zła.

Niewiasto, oto syn Twój.

W obliczu śmierci Jezus, jak każdy dbały o rodzinę mężczyzna, powierza Matkę swemu najwierniejszemu przyjacielowi. Tradycja

chrześcijańska widzi w Janie przedstawiciela całej ludzkości. W nim Maryja została dana za matkę wszystkim i każdemu z osobna. W kobiecie pod krzyżem, zszarzałej — Jej Syn widzi nie tylko Matkę Bolesną. Ogląda Ją oczyma chwały, miłości i wyniesienia jako: *Niewiastę z Apokalipsy, obleczoną w słońce i księżyc pod Jej stopami, a na głowie ma koronę z gwiazd dwunastu* (Ap 12,1).

Oto Matka Twoja.

„Obelisk bólu wołający w niebo” — napisze przejmująco Ludmiła Marjańska. Z tajemnicy krzyża wyłania się nowe macierzyństwo Maryi. Jezus umierając adoptuje wszystkich ludzi. Od tej pory mogą jej mówić: „Mamo”. Ale czyż to nie porażające stanąć w miejsce Jezusa?

Zaprawdę, powiadam ci, dziś ze Mną będziesz w raju.

Tak odpowiada zawieszonemu obok skazańcowi Jezus, gdy ten prosi Go o wspomnienie, kiedy wstąpi do Królestwa. Łotr za cenę zawierzenia, za jeden szczerzy przyptyw skruchy, w mgnieniu oka otrzymuje odpuszczenie grzechów. Zawodowy bandyta pierwszym świętym, kanonizowanym osobiście przez Chrystusa. „Prawie wszyscy święci byli początkowo grzesznikami. Większość z nich doszła do świętości przez pokutę, a nie przez niewinność” — mówi pokornie św. Jan Vianney. Jakaż w tym nadzieja!

Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił.

Otchłań samotności. „Bóg dźwiga ciężar braku Boga” — zamknie lapidarnie w jednym zdaniu cały dramat Bernard Bro. Ta skarga jest streszczeniem wszystkich skarg ludzkości. *Boże mój, Boże, czemuś Mnie opuścił* — tak zaczyna się psalm 22, którym modli się umierający Mąż Bolesci. W tym zawołaniu paradoksalnie przywołuje nadzieję wbrew nadziei. Od tej pory nie ma już cierpienia, w którym Jezus nie wyszedłby na spotkanie człowiekowi zostawionemu sobie.

Pragnę.

Czy pragnął tylko pić? A może w ten czas trwogi prosił o obecność, współodczuwanie? Pragnienie, aby być kochanym przez człowieka, pragnienie aby go zbawić, zaprowadziło Jezusa tak wysoko — na krzyż. Miłość uczyniła Jego życie skomplikowanym. O tym dramacie nieodwzajemnionej miłości pisał współczesny poeta:

„Człowiek pewien, który był ojczyzną Boga
skazał Go na wygnanie.
Bóg pochyliwszy smutnie głowę,
odszedł bez słowa,
ale zatęsknił za powrotem
do człowieka, który był Jego ojczyzną”.

Roman Brandstaetter

Jezus bezustannie ofiarowuje Swoją „miłość, której — według Re-
ne Lorentain’a — prawem jest nadmiar”. On pragnący jest jedno-
cześnie „źródłem, które pragnie, abyśmy zeń pili” — mówił mistyk
Grzegorz z Nyssy.

Wykonało się.

Wykonało się Pismo, a w nim wyrażona wola Boga, która przy-
wróciła w drugim Adamie to, co utracił pierwszy. W miejsce niedoli,
szczęśliwość, która była naszym udziałem, zanim nas grzech nie
poraził.

Ojcze, w ręce Twoje oddaję ducha Mego.

W tej śmierci zawarta jest śmierć każdego. Śmierć to obudzenie
„z czasu i przestrzeni” — pisała w „Notatniku” Anna Kamińska.
„Żeby nie bać się śmierci — mówił François Varillon — trzeba nie
być już niewolnikiem niczego i nikogo”. „Dla syna ziemi śmierć na
ziemi jest końcem. Dla syna ducha śmierć na ziemi jest tylko po-
czątkiem” — powiada współczesny teolog.

Męka, krzyż, śmierć — to otchłanie Bożej Miłości. Miłości, która
nie umiera, która się nie starzeje, która jest ciągle młoda. Miłości,
której ostatnim słowem jest Zmartwychwstanie.

OKRES WIELKANOCNY



ŚWIADECTWO KAMIENNEJ ŁAWY

Szukacie Jezusa Ukrzyżowanego. Nie ma Go tutaj, bowiem zmartwychwstał, jak powiedział (Mt 28, 5b-6).

W pomieszczeniu 2,07 m na 1,93 m kamienna ława, o długości 2,02 m, szerokości 0,93 m i wysokości 0,66 m, obudowana płytami z białego marmuru. Na niej został złożony ukrzyżowany Jezus. To jedyny do dnia dzisiejszego niemy świadek Zmartwychwstania w Jerozolimie.

Śmierć Jezusa na starożytnej szubienicy zamykała życie pełne niezwykłych myśli i czynów. Zdawała się być końcem jeszcze jednego człowieka, który miał patent na ulepszenie świata. W niezmienniej historii ludzi wszystkich czasów, pokoleń i miejsc na ziemi, wydarzyło się niepojęte — śmierć (obok własnych narodzin, jedyna pewna rzeczywistość, jaka spotka każdego, o czym wszyscy wiedzą, ale prawie nikt w to nie wierzy) nie była ostatnim faktem w życiu Jezusa. Według świadectwa pism Nowego Testamentu, uczniów i kamiennej ławy On powstał z martwych. Na tym fakcie opiera się Kościół i całe chrześcijaństwo. Z niego wynika wiara, że ostatnie słowo w życiu należy do dobra i miłości oraz perspektywa wieczności ofiarowywana każdemu. *Jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, daremne jest nasze nauczanie, próżna jest także wasza wiara* — pisał św. Paweł do Koryntian (1Kor 15,14), dając wyraz ciągle aktualnemu stwierdzeniu, iż chrześcijańskie przepowiadanie i chrześcijańskie życie byłoby bez sensu, gdyby Jezus rozsypał się w proch i nie zmartwychwstał.

Orędzie Wielkiej Nocy jest najbardziej ludzkim przesłaniem chrześcijaństwa. Nie spadamy w pustkę i nicłość. W zmartwychwstaniu sfera religijna odsłania się nie tylko jako świat serca i ducha, świat niewypowiedziany i niepojęty, ale i obejmuje całego człowieka,

jego ciało, historię osobistą, to kim jest i kim powinien być. W zmartwychwstaniu ukryta jest prawda, że Bóg nie tylko jest, ale że sięga On w ludzką historię, ogarnia ziemię — zarówno jej wczoraj jak i dzisiaj. Będąc centrum prawdziwego życia ukazuje także jej kres.

Zmartwychwstanie, które dokonało się w czasie i w przestrzeni, chociaż nie jest dostępne ludzkiemu poznaniu, dopełnia dzieje nie tylko historycznego Jezusa. On, który pokonał śmierć, objawia radosne przesłanie: człowiek jest nieśmiertelny. Nawet umarły człowiek ma przed sobą przyszłość, bowiem po życiu Życie trwa. Wszyscy ludzie mocą Boga, jak Chrystus, w przyszłości zostaną przywrócenii do nowego życia, którego nie utracą. Spotka się Bóg z człowiekiem.

W Jezusie jest początek, przyczyna i wzór naszego zmartwychwstania. Jednak nie wszystkich czeka ten sam los. Potrzeba, aby czyn Zmartwychwstałego stał się prawdą, drogą i życiem. Niech On sam, dzięki wierze i nawróceniu, zmartwychwstanie w głębi istoty każdego z ludzi. Wtedy zajaśnieje światło wielkanocnego poranku i jego radość, będące umocnieniem w codzienności, dające jej perspektywę i sens.

Razem z Jezusem *będziemy u Boga* (2Kor 5,8). Pojęcie czasu i przestrzeni w tym odniesieniu traci swój sens. „Niebo to szyfr biblijny na oznaczenie samego Boga. Piekło oznacza Jego nieobecność” — pisał Ferdinand Krenzer. Zmartwychwstały przychodzi, aby nas upewnić, że sam Bóg jest przyszłością człowieka, która nie jawi się jako kategoria „gdzieś”, lecz „KTOŚ”. Otwierają na nią: wiara, nadzieja i miłość.

PROWOKACJA

Jezus przyszedł mimo drzwi zamkniętych, stanął pośrodku i rzekł: „Pokój wam”. Następnie rzekł do Tomasza: „Podnieś tutaj swój palec i zobacz moje ręce. Podnieś rękę i włóż ją do mego boku, i nie bądź niedowiarkiem, lecz wierzącym” (J 20,26-27).

W pierwszy dzień zmartwychwstania Jezus wszedł przez drzwi zamknięte i zasiadł wśród swoich. Tomasza wtedy nie było. Kiedy powrócił, opowiadali mu: *Widzieliśmy Pana*. On kiwał głową z powątpiewaniem, jak każdy mocno chodzący po ziemi. Więc dodawali szczegóły o nieprawdopodobnym spotkaniu, jak podali Mu kawałek pieczonej ryby i plaster miodu, jak śledzili Jego usta, gdy powoli żuł jadło. Jaka szkoda, że na potwierdzenie swoich słów nie zachowali ości ryby, którą zjadł — pomyślał może któryś. Im bardziej zarzucali go argumentami, tym większy opór rósł w nim całym. Gdy temperatura wymiany zdań doszła do wrzenia, rzucił im prowokacyjne wyzwanie: *Jeżeli na rękach Jego nie zobaczę śladu gwoździ i nie włożę palca mego w miejsce gwoździ, i nie włożę ręki mojej do boku Jego, nie uwierzę*.

Po ośmiu dniach powrócił do tej swoistej prowokacji sam Jezus. Pomijając pytanie: kto, kiedy i w jaki sposób zdał Mu szczegółowe sprawozdanie o całym zajściu pomiędzy uczniami? — zatrzymać się należy przy tej przejmującej scenie, która w rozlicznych kopiach rozrzucona jest po świecie aż do dzisiaj. Człowiek żądający od Boga dowodu, że On istnieje.

Tomasz miał i ma wielu naśladowców w wątpieniu, w poszukiwaniu. Jednak tylko raz w ciągu dziejów dane było, właśnie jemu, doświadczalnie stwierdzić prawdę istnienia Zmartwychwstałego. Kłębowski pytań, wątpliwości, rozterek, obaw przed łatwowiernością, szamotania się z własnymi myślami, kończy się żarliwym wyznaniem: *Pan mój i Bóg mój*. To nie „dowody” skierowane jedynie do rozumu podyktowały Tomaszowi taką odpowiedź. Całe jego dotych-

czasowe „doświadczenie” doprowadziło go do uwierzenia. On był gotów do odnalezienia Boga w Jezusie. Jego miłość wspierała poznanie.

Wyznanie Tomasza wielu przyjmuje za swoje. Krąg wątpiących od tamtego czasu niepomrotnie się rozszerzył, a w części przyjął oblicze niewierzących. Poszukujący, powątpiewający są niejednokrotnie wewnątrznie bliżej Boga, niżli ci, którzy mienią się wierzącymi, ale, niestety, tylko z metryki. Tajemnicę serca pytającego odsłonił św. Augustyn w zdaniu, jakie przypisał Bogu: „Nie szukałbyś Mnie, gdybym cię przedtem nie znalazł”.

Nie ma ludzi niewierzących. Jedni wierzą, że Bóg jest. Drudzy — ateści — to także ludzie wierzący. Wierzą... że Go nie ma. Nie ma żadnego stuprocentowego dowodu, naukowego również, że On istnieje, ale nie ma także, że On nie może istnieć. Owszem, istnieją drogi poznania, które mogą zaprowadzić człowieka do Boga. Tyle jest do Niego dróg, ilu ludzi. Droga Tomasza była drogą właściwą tylko jemu.

Wątpienie wyrywa ze stanu złudnego bezpieczeństwa i spokoju. Jest wezwaniem, aby swoje wyobrażenia o Bogu oczyszczać, na nowo kontrolować i wiązać z życiem oraz jego wymogami. Wiara jest silna i dojrzała, gdy rozprawiła się w człowieku z niewiarą.

Obraz wątpiącego Tomasza oraz nas samych nabiera jeszcze innego rozumienia w świetle słów Lwa Tołstoja: „Jeśli zaczniesz się zastanawiać, że wszystko, coś myślał o Bogu, jest błędne i że Boga nie ma, nie rozpaczaj. Wielu ludzi tak myślało. Ale pamiętaj, że źródłem naszej niewiary nie jest fakt, że Boga nie ma. Jeśli nie możesz wierzyć w Boga, w którego dotychczas wierzyłeś, to znaczy, że z twoją wiarą było coś nie w porządku i musisz się starać lepiej poznać to, co nazywasz bogiem. Kiedy dzikus przestaje wierzyć w swego drewnianego bożka, to nie znaczy, że nie ma Boga; to znaczy, że prawdziwy Bóg nie jest z drewna”.

ZAPROSZENIE WĘDROWCÓW

Przybliżyli się do wsi Emaus, a Jezus okazywał, jakoby miał iść dalej. Lecz przymusili Go, mówiąc: „Zostań z nami, gdyż ma się ku wieczorowi i dzień się już nachylił”. Gdy zajął miejsce u stołu, wziął chleb, odmówił błogosławieństwo, połamał go i dawał im. Wtedy oczy im się otworzyły i poznali Go, lecz On zniknął im z oczu (Łk 24,28-31).

Skąpa, lecz soczysta zielen. Pośród niej biała, kamienista droga w słońcu i dwaj wędrujący. Nie widzą ani piękna dnia, ani budzącej się wiosny, bowiem załamanych na duchu wypełnia dojmujące zmartwienie. Obarczeni tragedią ukrzyżowanego Chrystusa; rozczarowani, że Mistrz nie zwyciężył wedle ich zamierzeń; w depresji i lęku przeżywają klęskę swoich planów. Bliscy tak wielu ludziom w ich niepowodzeniu. Nie spostrzegają, kiedy przyłącza się do nich Nieznajomy. Dopiero po dłuższej chwili, gdy włącza się do rozmowy zadając pytanie, zaczynają mówić żywo i bezładnie. On słucha cierpliwie o *tym wszystkim, co się wydarzyło*, o smutku, o przegranej. Po czym długo tłumaczy im sens wydarzeń, odpowiada na pytania, wyjaśnia wątpliwości. Przy końcu drogi, kiedy przyjmie zaproszenie wędrowców — które stanie się jedną z najpiękniejszych modlitw, jakie wierzący będą zanosić do Pana: *Zostań z nami, bo ma się ku wieczorowi i dzień się już nachylił* — zasiądzie do wieczerzy. Dopiero wtedy otwiera się ich serce i poznają, że to Zmartwychwstały.

Jezus przez swoje zmartwychwstanie nie odszedł ze świata. Zstępuje na drogi, którymi chodzą ludzie i im towarzyszy, tylko „oczy serca” wielu z nich są przysłonięte.

Stara irlandzka legenda, którą w oryginale przywiózł mi przed kilku laty jeden ze studentów, opowiada tę myśl następująco: „Pewien człowiek miał sen. Widzi siebie na złocistej, pustej plaży. Na bezchmurnym niebie ukazują się sceny z jego życia. Gdy był szczęśliwy, poza nim pozostawały obok siebie dwa ślady stóp. Domyślał

się, że jeden — to jego ślad, drugi — Jezusa. Lecz kiedy doznawał cierpienia, bólu i niepowodzeń, spostrzegał na piasku tylko jeden ślad. Z zalem więc i wyrzutem kierował wołanie do Boga: »Dlaczego w chwilach trudnych, gdy było mi tak źle, zostawiałeś mnie samego, Panie? Dlaczego odchodziłeś i ginął ślad Twoich stóp?« Gdy długo zgłaszał pretensje, usłyszał głos: »Nie zostawiłem cię. Pojedynczy ślad, który zostawał na plaży, to ślad Moich stóp. Kiedy było ci źle, brałem cię po prostu na ręce i niosłem«”.

Jezus utajony i nierozpoznany towarzyszy ludom i narodom po dziś dzień na ich drogach życia. Podjął tę myśl Ojciec Święty Jan Paweł II podczas swojej pielgrzymki w Czechosłowacji: „Przez wiele lat drzwi waszej ziemi dla Chrystusa zdawały się być zamknięte — dokładnie zamknięte... umocnione zaworem zakazu dokonanego przez system, który przez wiele lat bronił się, aby tutaj nie przyszedł Chrystus. Ci, którzy bali się prawdy i wolności, bali się Chrystusa, który prowadzi do pełnej prawdy, a człowieka oswobadza tym, że ukazuje mu jego wielkość i posłanie. Bali się Chrystusa, a w Jego sile człowiek przekracza wszystkie granice materialistycznego pojęcia życia i doznaje duchowej wolności. Czynili wszystko, aby Chrystusa odłączyć od społeczeństwa, od kultury, od instytucji życia konsekrowanego, od wpływu na młodzież. Czynili wszystko, aby era Chrystusa i Jego Kościół się zakończyła. Czynili wszystko, aby Chrystusa usunąć z tego narodu... Jednak przez ten cały czas Chrystus był wśród was.” Szedł drogą współczesności ukazując w rozczarowaniu — pociechę, w zwątpieniu — nadzieję, w bezsile — moc.

Radość poranka wielkanocnego, gdzie świat miłości, świat ducha ma ostatnie słowo, staje się udziałem wielu na oczach współczesnych. Oto „Bóg jest wszystkim, co widzisz i wszystkim, czego nie widzisz” — powiedział przed wiekami Seneka.

Jezus od tamtej wędrowki do Emaus bezustannie towarzyszy człowiekowi na jego drogach. Mówi przez znaki i wydarzenia, przez Biblię i łamanie Chleba. Tylko czy serce poruszone bliskością Boga drgnie?

Na swoich drogach trzeba odkrywać Go bez uprzedzeń, wciąż i wciąż na nowo, usilnie i wnikliwie, z cierpliwością i gotowością wsłuchiwania się w Niego, uciszania się wobec Niego. On nie umyka przed pytaniami, nie lęka się towarzystwa. Bóg wędruje nadal po świecie i jak mówi Dominique Lacordaire: „swoich przyjaciół nie traci z oczu”.

AUTOPORTRET

Przyszedłem po to, aby owce miały życie i miały je w obfitości. Ja jestem dobrym pasterzem (J 10,10-11a).

Mieć życie w obfitości — jaki świat skojarzeń i wartości wywołuje ta myśl u współczesnych? Czy nie nużący obraz truizmów: obfitość jadła i napitku, obfitość wrażeń i doznań, obfitość kolejnych rzeczy i przedmiotów, obfitość posiadania gotowych schematów myślenia i postępowania, obfitość roszczeń i żądań, obfitość spełnianych pragnień starych jak człowiek, a ciągle tych samych, przybierających wszakże nowe nazwy i kształt kolejnych kostiumów. Czy można mówić o obfitości w zapaści, jaka dosięga żyjących samotnie lub w rodzinie? Czy w ogóle nie darować sobie tego wersu Ewangelii na najbliższe lata, dopóki nie wyjdziemy z wielorakich kryzysów, brzmi bowiem w nim ironiczna nuta?

Mieć życie w obfitości — dla chorego obfitością będzie zdrowie, dla biednego bogactwo, dla zrozpaczonego nadzieja, dla poszukującego prawda, dla zniewolonego wolność, dla niekochanego miłość, dla żebraczki... róża.

Odbywając spacer w towarzystwie pewnej młodej damy Rainer Maria Rilke często mijał siedzącą obok drogi niemą żebraczkę. Sam nigdy niczego jej nie rzucił, jego towarzyszką natomiast regularnie dawała żebraczce jakąś monetę. Zagadnięty kiedyś w tej sprawie Rilke wyjaśnił swojej przyjaciółce: „Powinno się ofiarować coś dla jej serca, a nie dla jej wyciągniętej dłoni”.

Po kilku dniach Rilke wziął świeżo rozkwitłą różę i położył na wyciągniętej dłoni żebraczki. Chciał, jak zawsze, iść sobie dalej, ale wydarzyło się coś niezwykłego. Żebraczka z wysiłkiem podniosła się z ziemi, sięgnęła po rękę nieznanego mężczyzny, ucałowała ją i oddaliła się z różą. Staruszka zniknęła na cały tydzień. Dopiero ósmego dnia usiadła na swoim miejscu. Była niema jak poprzednio. „Czymże żyła przez te wszystkie dni, gdy nie dostawała żadnej jał-

mużny?” — zastanawiała się głośno dama. „Róża” — odpowiedział Rilke.

Obfitość przybiera wieloraki kształt. Pytanie o nią, jest pytaniem o życie, o to, co jest w nim naprawdę niezbędne? Bowiem obfitość to nie nagromadzenie, to nie wielopiętrowy stos rzeczy, ludzi i spełnień, który szczelnie wypełni wnętrze człowiecze. Takiego nigdy nie będzie. Obfitość to paradoksalnie owo minimum, jakiego człowiek naprawdę potrzebuje, a które nadaje jego życiu sens. To może być ta jedna róża, która otwiera na siebie samego, na ludzi, z którymi i wśród których się żyje, na Boga.

Mieć życie w obfitości — to wezwanie do rozwoju osób. „Chodzi o to, aby — jak to sformułował Jan Paweł II w encyklice „Redemptor hominis” — nie tyle »więcej mieć«, ile »bardziej być«... Człowiek nie może stać się niewolnikiem rzeczy, samych stosunków ekonomicznych, niewolnikiem produkcji, niewolnikiem swoich własnych wyrobów”. Pytanie o obfitość — to pytanie, czy staje się on lepszy, dojrzałszy, bardziej świadomy swojej godności, bardziej odpowiedzialny, bardziej otwarty na innych?

Mieć życie w obfitości. Ilu pozostało i pozostaje więźniami swoich głodów, bowiem obfitość, jaką wybrali, nie przyniosła nasycenia? Najgłębszym pragnieniem w sercu człowieka jest pragnienie kochania i poczucie, że jest się kochanym. Kto potrafi ofiarowywać miłość i przyjmować ją, ten może mówić o „życiu w obfitości”.

Jezus, który kreślił Swoj autoportret mówiąc: *Ja jestem dobrym pasterzem*, spośród wielu wybrał ten obraz po to, aby odstąpić głębię Swego posłannictwa, Swą troskę o ludzi i objawić wezwanie, jakie im stawia. Tam, gdzie On żył, do dzisiaj pasterz idzie na czele stada, prowadząc je na pastwisko. Pasterz wskazuje drogę i ochrania.

Jezus nazywając siebie „pasterzem” odwołuje się do wielowiekowej tradycji ludów Wschodu. W Egipcie, wedle dworskiego stylu, faraona nazywano „dobrym pasterzem”. W Babilonie najwyższe bóstwo — Marduka — „pasterzem ludu”. *Pan moim pasterzem* — wołał do Boga w swoich psalmach Izrael. Królowie i kapłani przybierali także ten zaszczytny tytuł. Jezus przewyższa wszelkie wyobrażenia pasterza. On, Pasterz dusz, przyszedł, *abyśmy mieli życie w obfitości*, zrodzone z Jego śmierci i zmartwychwstania; On oświeca rozum, ogrzewa serce, a Jego troska nie przeszkadza ludziom myśleć i działać.

DOM POD GWIAZDAMI

W domu Ojca mego jest mieszkań wiele. A gdy odejdę i przygotuję wam miejsce, przyjdę powtórnie i zabiorę was do siebie, abyście i wy byli tam, gdzie Ja jestem (J 14,2a-3).

Dom. Mieć jakiś dom. Życ w domu. Czyż nie jest to pragnienie każdego? Człowiek na tej ziemi poszukuje domu. Nie mieszkania zastępczego ani pokoju na najbliższy rok. „A poszukuje go jako miejsca, w którym można by prawdziwie żyć, oddychać, kochać, wypoczywać. Jeśli ktoś — pisał Carlo Caretto — jak sierota, nie doświadczył, czym jest autentyczny dom, ten poszukuje go z bolesną natarczywością. I przeciwnie, jeśli ktoś miał dom, ale był to dom pełen obłudy, pozbawiony miłości, skłócony, dom, gdzie się krzyczy i nienawidzi, ten będzie szukał przez całe życie czegoś odmiennego i pozostanie do końca duchowo chory, rozbity”. Szczęśliwy ten, kto miał, ma prawdziwy dom. Człowiek został stworzony, aby nigdy nie był samotny, aby miał dom aż poza kres swoich dni. Nawet wtedy, gdy zmęczony życiem zostawi swoje ciało jak stary, zużyty płaszcz — znajdzie, jeśli wierzy Jezusowi, dom obszerny, *w którym mieszkań wiele*, a w nim Boga jako Ojca i ludzi jako braci.

Pragnienie domu w człowieku jest zbieżne z pragnieniem Boga.

Czyż nie z powodu tej myśli opuścił On niebo i wyruszył na ziemskie szlaki? Wędrował po pustyni z Izraelitami. Mieszkał z nimi w namiocie. Wymyślił Arkę Przymierza, aby być z nimi blisko. Później zamieszkał w świątyni jerozolimskiej. Nierozpoznany żył wśród ludzi w miasteczku Nazaret. A potem przebywał w wielu ludzkich domach: Łazarza, Piotra, Marka, Zebedeusza, Jaira. Wreszcie zamieszkał na stałe we wszystkich kościołach i kaplicach świata. Bóg ma obsesję domu. A jak inaczej patrzeć na Wieczernik i na to wszystko, co się w nim wydarzyło? Jak na kryjówkę z chleba? Kruchy, prosty, biały dom. Bóg ma obsesję domu.

Poprzez Swoją obecność na ziemi podkreśla jego sens, wagę i piękno w naszym życiu. Poprzez odniesienie do wieczności zwykajny ludzki dom nabiera głębokich i nowych perspektyw. Szczęśliwy dom to przedsmak niepojętych, ostatecznych przeznaczeń człowieka.

Święty Jan ukazał w Apokalipsie koniec czasów, *niebo nowe i ziemię nową*. To nic innego, jak właśnie wizja domu Boga:

*I Miasto Święte — Jeruzalem Nowe
ujrzałem zstępujące z nieba od Boga,
przystrojone jak oblubienica zdobna w klejnoty
dla swego męża.*

*I usłyszałem donośny głos mówiący od tronu:
Oto przybytek Boga z ludźmi:
zamieszka wraz z nimi
i będą oni Jego ludem,
a On będzie »Bogiem z nimi« (Ap 21,2-3).*

Bóg zamieszka z ludźmi w Swoim domu, który przygotował wcześniej niż świat. Pełen dobroci *otrze z ich oczu wszelką tęgę*, zapewniając wszystkich, którzy do Niego przyszli, że nic już ich nie rozdzieli, bo *śmierci już odtąd nie będzie* (Ap 21,4).

U kresu dni i wieków stoi dom. Dom, który uczynił Bóg. Czeką w nim pełen nadziei, że zamieszka z każdym i wszystkimi. Czyż człowiek może dozwolić, aby przygotowane dla niego mieszkanie stało puste w wieczności? Z tego powodu Jezus ofiarowuje człowiekowi Ewangelię, jeśli ją przyjmie i wypełni, zaprowadzi go ona do *domu, w którym mieszkań wiele...*

Wyznaczone przez Chrystusa spotkanie w owym pięknym rozdziale Apokalipsy, odsłania, co będzie na końcu, ale bez końca; odsłania świat wyrosły z Jego Serca, w którym Miłość miłość przyzywa — do domu.

POKOCHAĆ POWIEW PŁOMIENI PROMIENI

Będę prosił Ojca, a innego Pocieszyciela da wam, aby z wami był na zawsze. Ducha Prawdy... (J 14,16)

Odchodzący Jezus obiecuje *Pocieszyciela* — Ducha Świętego. Wielu wierzących nie różni się zbyt od efeskich chrześcijan, którzy mówili do św. Pawła: *nawet nie wiemy, że istnieje Duch Święty*. (Dz Ap 19,2) Nie ma On twarzy jak Chrystus. Nie przebywa w świadomości jak Ojciec Niebieski. Spadał wichrem, ogniem, światłem. A jak można pojąć i pokochać powiew, płomień, promień?

Duch — tchnienie Jezusa Zmartwychwstałego. Osoba Boska. Mało o Nim się myśli. Rzadko kiedy mówi.

Duch Pocieszyciel otwiera na tajemnicę Boga, którego chrześcijanin odkrywa w Jezusie, w Jego słowie i dziele. Kiedy Jezus wstał do nieba i zasiadł po prawicy Ojca — jak głosi „Credo” — Jego dzieło zbawienia przejął Duch Święty. On sprawia, że Chrystus żyje w świecie i działa, przychodzi do człowieka i porusza jego serce. On poucza, kim jest Jezus. Bez Niego nikt nie może powiedzieć: *Panem moim jest Jezus* (1Kor 12,3). On powoduje, że człowiek wierzy, że powraca po wielu latach do Boga. Jego mbcą Ewangelia staje się dla wielu *drogą, prawdą i życiem* (J 14,6).

Duch przenika Kościół i ujawnia w nim Boską rzeczywistość. Jest duszą Kościoła. Działa w jego sakramentach, w jego modlitwach, w jego urządach.

Duch wszedł w życie każdego, kto ceni miłość, prawdę, dobro, wolność, sprawiedliwość, piękno. On dawcą każdego ludzkiego talentu. Źródło uzdolnień i mądrości, wiedzy i wszelkiej kultury. Wypełnia to wszystko, co potrzebne — jak mówili Ojcowie Kościoła — „aby człowiek stał się Bogiem”.

Przyszedł Jezus i „pozwoił postawić dla siebie krzyż na Golgocie jako wielki wykrzyk, podkreślający rozdział między dobrem i złem — powiada obrazowo w swej książce Mon Calepin. — Ale dzisiaj znowu panuje zamęt. Ludzie mieszają jedno z drugim”. Nie wiedzą, gdzie kończy się dobro, a gdzie zaczyna grzech. Potrzebują nauczyciela, który znając ich dążenia, potrafiłby odpowiednio przesłuchać i pouczyć. Jezus dobrze wiedział, czego potrzebują, dlatego obiecał i posłał Ducha Pocieszyciela.

On jest darem Ojca i Syna dla świata.

Duch bezustannie działa. Przenika ustanowione bariery. Unosi się nad wschodem i zachodem. Przekracza granice i kordony, zwala mury, niszczy przemoc i niesprawiedliwość. Na naszych oczach objawia się moc Ducha Świętego, który obudził umysły i umocnił serca. Kiedy On przychodzi — systemy i ideologie, armie i układy wojskowe tracą swoją siłę. On przynosi prawdę i sprawiedliwość, miłość i dobro, wolność. Ofiaruje światu wartości, które ocalają człowieka.

On — *Duch Prawdy* — uśmierca kłamstwo.

Objawia niezmienną prawdę, że nikt mieczem duszy nie zawojuje ani nie może jej zabić. Bowiem duch w człowieku jest nieśmiertelny i zawsze z-martwych-wstaje.

Duch przenika świat. *W nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy* (Dz Ap 17,28). On wzywa wszystkich i każdego do wewnętrznej przemiany. Prawdziwa reforma świata tylko na takim fundamencie może się opierać. Przemiana struktur, ustrojów, systemów, praw i przepisów jest ważna. Nadzieja obecnego czasu musi jednak wyrastać nie z dokumentów i kolejnych traktatów, ale przede wszystkim z tego, jaki jest człowiek, kim jest każdy z nas. „Nowa era — pisał teoretyk kultury Friedell — nie rozpoczyna się wtedy, gdy wybuchu albo kończy się wojna, albo dochodzi do wielkiego przewrotu politycznego... lecz w momencie, w którym na scenę wchodzi nowy rodzaj ludzki. W dziejach liczą się bowiem jedynie duchowe przeżycia ludzkości”.

Na obecny czas trzeba spojrzeć jako na nowy dar z rąk Boga. W wydarzeniach dostrzec moc i działanie Jego Ducha. Tam gdzie ludzie wyzwalają się z wielorakich pęt, z więzów egoizmu, tam gdzie przebaczą prosiącym o przebaczenie, tam gdzie prawdziwie spotykają się ze sobą i pomagają innym, nie oczekując zapłaty — tam jest obecny Duch. Dzięki Niemu *miłość rozlana jest w sercach naszych* (Rz 5,5).

Duch sprawia, że człowiek żyje w przyjaźni i we wspólnocie z Bogiem, że raduje się Jego obecnością, że znosi cierpienia. On jest dawcą wszelkiej nadziei. „Pocieszycielem jesteś zwan” — śpiewa Kościół w hymnie ku Jego czci. Ów wielki wiatr, który szczególnie za naszych dni wieje przez świat przynosząc przebudzenie ludów i narodów, niech dotknie także naszych serc i umysłów.

POŚRÓD PODZIAŁÓW

Ojcze Święty, zachowaj ich w Twoim imieniu, które mi dałeś, aby tak jak My stanowili jedno (J 17,11).

Ewangelia wprowadza do wieczernika — obszernej sali, w której Jezus spotyka się z uczniami po raz ostatni. Św. Jan, uczestnik Ostatniej Wieczerzy, dokładnie odnotował Jego słowa i czyny, a wśród nich pełną głębi modlitwę Jezusa — Arcykapłana. Odśłania ona tajemnicę Jego wielu modlitw. Wypowiada ją Jezus — kapłan i ofiara, kiedy nadeszła *Jego ostatnia godzina*. Bez tej modlitwy ukrzyżowanie dałoby się sprowadzić do podobnej jak wiele, zwyczajnej egzekucji.

Wobec uczniów, o których powiedział: *nazwałem was przyjaciółmi*, odbywa się spotkanie Syna z Ojcem. Ma ono charakter modlitwy, która na początku nie potrafi ominąć nadchodzącego cierpienia. Powoli, kiedy odśłania się wzajemna bliskość, przechodzi ona w dziękczynienie: *Wypełniłem dzieło, które mi dałeś do wykonania. Objawiłem ludziom Twoje imię... a oni uwierzyli... Oby byli ze Mną tam, gdzie Ja jestem...* Nigdzie jedność Ojca i Syna nie jawi się tak całkowicie odślonięta. Modlitwa arcykapłańska wyraża ducha Jezusa, a także wszystko, co On czyni i kim jest. „Męka bez tej modlitwy — jak powiada jeden ze współczesnych teologów — byłaby niegodziwością, modlitwa ta bez męki byłaby tylko pięknym uniesieniem, pustym jednak i daremnym. Bez skutecznego działania, bez włączonego w nią życia, modlitwa jest tylko złudzeniem, a działalność bez modlitwy tylko naturalnym porywem”.

Wsluchując się w nią, można odnaleźć radość, jaka płynie ze zjednoczenia Syna i Ojca. W jedności wewnątrz Boga, jaka płynie ze zjednoczenia Syna i Ojca, jawi się wzorcowa podstawa jedności ludzi. Odkrywa ją Jezus tuż przed swoim odejściem ze świata mówiąc: *Proszę... aby wszyscy stanowili jedno, jak Ty, Ojcze, we Mnie,*

a Ja w Tobie, aby i oni stanowili w nas jedno (J 17,20). Jedność, jaka wynika z tej modlitwy, jest sprawdzianem miłości.

Świat ciągle jest jeszcze podzielony na wschód i zachód, na północ i południe, na młodych i starych, na my i oni. Po co daleko szukać — można przywołać najbliższe kręgi, tym bardziej że ciągle rodzi się pytanie, czy próbując przywołać jedność — przebaczać? Tak, przebaczać tym, którzy proszą o przebaczenie. Ale dla tych, którzy nie proszą o przebaczenie i w chrześcijaństwie jest tylko jedno rozwiązanie: sąd.

U podstaw jedności ludzi między sobą jest łączność z Bogiem, do jakiej zapraszają Ojciec i Syn. *Aby i oni stanowili w nas jedno* — prosi Jezus. Przywoływać ją trzeba i uczyć się jej, zwłaszcza wobec bolesnego rozbicia tylu małżeństw, rodzin, grup, środowisk, ludów i narodów. Jedność nie wynika ani z sytuacji, ani z kruchych postanowień ludzkich, ani z osobistych sympatii, ani z materialnych korzyści. Ilu dzieli osobisty egoizm?

Jedność jest czymś nadludzkim. Nie można jej zyskać własnym wysiłkiem. Jest darem Boga, dla tych, którzy o nią proszą w modlitwie. Modlitwa bowiem pomaga pojąć rzeczywiste położenie człowieka, odkryć jego prawdziwe więzi z Bogiem i z ludźmi. Jej głębiny i moce odśłania Jezus. Trzeba w pełnej gotowości i trosce wsłuchiwać się i włączać w Jego modlitwę o jedność — dobro wspólne; z sercem, które chce się odnawiać.

BÓG MŁODY WIECZNIE

Jezus tchnął na uczniów i powiedział im: „Weźmijcie Ducha Świętego” (J 20,22).

W dzień Zielonych Świąt liturgia z czcią zatrzymuje się przy Wielkim Nieznajomym, jakim i dla wielu chrześcijan jest Duch Święty. Ma wiele imion — Duch Pański, Duch Jahwe, Duch Ojca, Duch Jezusa, Paraklet, Ruah (hebr.), Pneuma (gr.), Pocieszyciel, O-
rędownik. Jego istnienie, moc i działanie odsłania Biblia.

Spotyka się Go już na pierwszej stronie Pisma, kiedy uczestniczy w stworzeniu świata: *Ziemia była bezładem i pustkowiem; ciemność była nad powierzchnią bezmiarów wód, a Duch Boży unosił się ponad wodami* (Rdz 1,2). Jawi się jako moc, która ożywiła świat. Unosi się niczym ptak nad swoim nowym gniazdem.

Współdziała jako ożywczy dech w chwili stworzenia człowieka, kiedy Bóg *tchnął w jego nozdrza tchnienie życia, wskutek czego człowiek stał się istotą żywą* (Rdz 2,7). Bibliści upatrują w tej wypowiedzi przekazanie przez Ojca daru Ducha i złożenie jakby Jego części w każdym człowieku.

Duch — źródło uzdolnień oraz mądrości u proroków, królów i wodzów Starego Testamentu. Wędruje przez pustynię z Ludem Wybranym.

On kształtuje ciało Jezusa i namaszcza Go podczas chrztu w Jordanie. Cała działalność Jezusa stoi pod znakiem Ducha, o czym sam zaświadcza na początku swego publicznego życia w synagodze nazaretańskiej: *Duch Pana nade Mną, bo Pan Mnie namaścił. Posłał Mnie, aby głosić dobrą nowinę ubogim, by opatrywać rany złamanych serc, by zapowiadać jeńcom wyzwolenie i więźniom swobodę* (Łk 4,18).

Jezus Chrystus odsłonił tajemnicę Ducha — Trzeciej Osoby Trójcy Przenajświętszej.

Bóg się nie starzeje. Jest wiecznie młody. Niezrodzony jest Bogiem rodzącym. Rodzi Syna — Przedwieczne Słowo. „Bóg stał się

nosicielem ciała, aby człowiek mógł stać się nosicielem Ducha” — powie o tym św. Atanazy. Wzajemna relacja między Ojcem i Synem jest szczególna. Obdarowują siebie nawzajem miłością. Trwają w niej. „I właśnie ta miłość pomiędzy Nimi jest Osobą, jest Duchem Świętym. On zrodzony z miłości, jest — jak powiada jeden ze współczesnych teologów — miłością w nadmiarze”.

Weźmijcie Ducha Świętego — powiada zmartwychwstały Jezus ofiarowując najbliższemu niepojęty dar. Od tej chwili mocą Ducha głoszone jest orędzie Chrystusa o zbawieniu.

Duch Święty założył Kościół. Dzięki Niemu Chrystus jest obecny w świecie i może w nim działać. Przed wiekami i dzisiaj rodzi oraz podtrzymuje wiarę w Boga. Duch staje się udziałem kolejnych pokoleń wstępujących na świat. Dostępny jest każdemu człowiekowi — w nim żyje, przebywa, działa. Jest w nim i z nim. Obdarowując nieśmiertelnością zaprasza do przebóstwienia samego siebie i świata. Z Jego mocy i światła „pył stroi się na dziecko Boga” — jak pisał Norwid. Każdy jest nosicielem Ducha, ale czy świadomym?

Słowa Jezusa: *weźmijcie Ducha Świętego*, spowodowały, że On jest udziałem wierzących i niewierzących. Dawcą wszystkich darów, ludzkich zdolności i talentów. Z Niego, jak powiada Izajasz, jest dar mądrości i rozumu, rady i męstwa, wiedzy i bojaźni, pobożności. Zaś św. Paweł w liście do Galatów dopowiada, że *owocem Ducha jest: radość, pokój, cierpliwość, uprzejmość, dobroć, wierność, łagodność, opanowanie* (Gal 5,22). Każde dobro, każda miłość, każda nadzieja biorą początek z Niego, bowiem rozlał się w sercach naszych.

Podczas pierwszej pielgrzymki do ojczyzny Ojciec Święty Jan Paweł II zanosił modlitwę na placu Zwycięstwa o dar Ducha, a wszyscy zgromadzeni na tym miejscu, a także przy aparatach radiowych i telewizyjnych — od morza do gór powtarzali wraz z Nim: „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi, tej ziemi”. Jaka jest siła modlitwy? Wołanie Papieża i Ludu Bożego do Boga spowodowało wielki powiew Ducha, nie tylko na „tej ziemi”. Jestem głęboko przekonany, że oblicze odradzającej się Polski, środkowej Europy, a także świata ma swoje źródła w Duchu Świętym odnawiającym na naszych oczach — „oblicze ziemi”. Życie świata jest przygodą z Duchem. On prowadzi ludzi wśród spraw najdrobniejszych i największych. Doświadczamy Jego mocy. W życiu osobistym, rodzinnym, społecznym, obywatelskim, międzynarodowym pozwólmy prowadzić się Duchowi.

BEZDOMNY Z MIŁOŚCI

Tak Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne (J 3,16).

Intelektualista Nikodem przyszedł do Jezusa nocą. Podczas tego spotkania w cztery oczy Rozmówca odsłonił przed nim największy przejaw miłości Boga, którym był On sam, Syn Jednorodzony, dany światu. Bóg wymyślił miłość i jej konsekwencje, człowiek zaś wymyślił egoizm. Bóg odsłonił w niej Swoją bezinteresowność mówiąc tym samym, że kocha się za darmo. Syn identyfikuje się z miłością Boga Ojca i także jak On *umiłował świat*. Jego miłość, która jak słońce w diamencie odbija się na tysiące sposobów, pragnie bliskości. Tylko z powodu miłości *stał się człowiekiem, podobnym do niego we wszystkim oprócz grzechu* (Flp 2,7; Hbr 4,15).

Syna swego Jednorodzonego dał... On z miłości niebo zamienił na kamienną pieczarę, która wielu rozrzewnia jako szopka. Z miłości był poddany ludziom, chociaż rozkazywał wichrom i morzu, demonom i aniołom. Z niczego, pracując jako robotnik, i bez najmniejszego wysiłku powołał świat, ale z miłości poznał gorzki smak potu, jaki spływał z Jego czoła. Pan świata, bezdomny z miłości, mówił o sobie przejmujące słowa: *lisy mają nory, ptaki gniazda, a Syn Człowieczy nie ma miejsca, gdzie by głowę skłonił* (Mt 8,20). Z miłości wyciągnął ku ludziom ramiona, aby ich przygarnąć, a oni zatrzymali Go w tym geście, wbijając gwoździe. Z miłości wstąpił w śmierć, aby ocalić od śmierci.

Bóg ze swoją miłością nie zamieszkuje poza granicą czasu. Jest ciągle obecny w świecie człowieka. Kto doznaje miłości, przyjaźni, życzliwości, ten znajduje się w głębokich falach, które bezustannie płyną od Niego ku światu, ku ludziom. Jego miłość nie jest wartością dodatkową. Jego obecność nie jest premią za dobre życie, ale prozycją dla wszystkich, dla brudnych, grzesznych i złych także.

Aby kto w Niego wierzy... miał życie wieczne. „Wiara oznacza przewartościowanie wartości, wprowadzenie nowych miar i wag ludzkiego istnienia z perspektywy przyszłości. Nie miara chwili, lecz miara wieczności jest właściwą miarą człowieka” — pisał kard. Józef Ratzinger. Każda, nawet najmniejsza teraźniejszość, tkwi korzeniami w wieczności. Wobec niej przeżywana chwila nabiera już teraz niezwykłego znaczenia i wagi. Życie wieczne wyrasta z wiary i bezustannie dawanej odpowiedzi na miłość, która sprowadza się do tego, aby stawać się dziećmi jednego Ojca i braćmi jedni dla drugich. Przy czym, jak rozważa Manfred Lay: „Dla wierzącego człowieka miłość bynajmniej nie jest jakąś zwykłą reakcją mózgu na bodziec hormonalny czy biochemiczny. Nie jest też jakąś nadprzyrodzoną mocą. To sam Bóg jest miłością.” Bez Niego nie można pojąć, czym jest życie i czym śmierć, czym miłość i szczęście, kim człowiek i jego przeznaczenie. „Bez Chrystusa człowiek nie może zrozumieć samego siebie” — powiada Jan Paweł II ukazując źródła ludzkiej tożsamości. Jezus jest duszą wszelkich powiązań człowieka z samym sobą, z innymi ludźmi, ze światem, z Bogiem.

Dar Boga dla świata, którym jest Syn Jednorodzony, ukazuje, kim jest człowiek w oczach Ojca. W zdaniu Jezusa skierowanym do Nikodema należy zobaczyć ludzką wielkość oraz usłyszeć wezwanie, aby ją ocalać.

CZAS ZWYKŁY

BARANEK APOKALIPSY

Nazajutrz Jan zobaczył Jezusa, nadchodzącego ku niemu i rzekł: „Oto Baranek Boży, który gładzi grzech świata” (J 1,29).

Nad piaszczystym brzegiem Jordanu, który przy brodzie Bethabara spada pionowo prawie kilka metrów w dół na lustro wody, stoi Jan Chrzciciel i wskazując dłonią Nadchodzącego wypowiada słowa: Oto Baranek Boży, który gładzi grzech świata. Te same, jakie podczas Mszy św. przed Komunią wypowiada kapłan. Wielu zna je na pamięć, czy mają jednak świadomość głębi, jakie w sobie kryją?

Baranek Boży. Jan w tej szczególnej prezentacji przywołuje obraz baranka — zwierzęcia ofiarnego, które było składane przez kapłanów Izraela wedle wskazań Księgi Wyjścia *codziennie i ustawicznie*, rano i o zmierzchu, jako *przebłaganie za grzech* (Wj 29,36nn).

Baranek Boży. Jan pamiętał dobrze obraz Baranka Paschalnego, jednorocznego, bez skazy, zabijanego co roku w Święto upamiętniające wyjście Izraelitów z Egiptu. Krew jego na odrzwiach domów ocaliła wtedy mieszkańców przed aniołem śmierci.

Baranek Boży. Jan znał na pamięć prorokującą pieśń Izajasza o cierpiącym Słudze Jahwe, który *jak baranek na rzeź prowadzony* (Iz 53,7) siedł w milczeniu, a następnie *był przybity za nasze grzechy, zdruzgotany za nasze winy* (Iz 53,5).

Baranek Boży. W literaturze apokaliptycznej Henocha, która nie obca była Janowi, baranek jawi się jako Moc, prowadzi walkę z upadłymi aniołami, których zwycięża i wyzwala ostatecznie Boży lud.

Ten Baranek z Biblii, ofiarowywany, cierpiący, zabity, zwycięski, którego Jan wskazuje światu nad brzegiem świętej rzeki, podczas Ostatniej Wieczerzy sam narzuci interpretację przywołanym archetypom i powie o Sobie: *Bierzcie i jedzcie, to jest Ciało moje. Pijcie... to jest moja Krew Przymierza, która za wielu będzie wylana na odpuszczenie grzechów* (Mt 26,26.28).

Jezus — Baranek z Apokalipsy przedstawiany na złocistych, pełnych tajemniczej poświaty mozaikach, w prezbiterium bazylik Rawenny, Rzymu i Konstantynopola, łączy wszystkie obrazy jawiąc się jako *Pan dziejów* (Ap 6,1-16).

Oto Baranek Boży, który gładzi grzech świata. Dzisiaj niechętnie mówi się o grzechu. Pod pretekstem przejścia na wyższy stopień ewolucji moralnej nazywa się go błędem, słabością, potknięciem, pomyłką, defektem wynikającym z genów rodzicielskich. Czyżby po doświadczeniach Oświecenia ponownie przestano doceniać całą przepastną potęgę zła? „Przecież garść prochu, z którego Bóg ulepił swoje arcydzieło — pisze Anastasio Ballestrero — w wyniku grzechu zamieniła się w garść potłuczonych skorup. Człowiek przedstawia widok powalonego posągu: własnymi siłami nie potrafi powstać”.

Każdy człowiek jest grzeszny. *Jeśli mówimy, że nie ma w nas grzechu, to samych siebie oszukujemy i nie ma w nas prawdy* (1J 1,8).

Jezus stający nad Jordanem przypomina o grzechu i o winie. Pragnie, aby uznać je w sobie, co spowoduje, że człowiek przestanie zrzucić winę na drugich, na warunki i stosunki, w jakich żyje, na skłonności i obciążenia dziedziczne. Człowiek przestaje wtedy odrzucać Boga, ludzi i siebie. Jednak nikt nie może sobie udzielić przebaczenia. Nikt nie może jak Münchhausen złapać się za czuprynę i wyciągnąć z bagna. Tym bardziej, jeśli w grę wchodzi bagno grzechu. Jest jeden Wybawiciel. *Oto Baranek Boży, który gładzi grzech świata...* i mój także.

CZŁOWIEK WYDANY WOLNOŚCI

Idąc kiedyś wzdłuż brzegu jeziora zobaczył Jezus dwu braci: Szymona, zwanego Piotrem, i brata jego Andrzeja, jak zarzucali sieć w jezioro. I rzekł do nich: „Pójdźcie za Mną, a uczynię was rybakami ludzi”. Oni natychmiast zostawili sieci i poszli za Nim (Mt 4,18-19).

Pierwsze dni działalności Jezusa. Zamieszkał w Kafarnaum nad Jeziorem Galilejskim. W miejscu tętniącego wówczas życiem miasteczka — dużego portu w starożytności, mającego (już wtedy!) swój rybacki związek zawodowy, a które teraz obwieszcza jedynie wisząca na płocie mała niebieska tablica z napisem: „Capernaum — The town of Jesus” (Kafarnaum — miasto Jezusa) — są tylko ruiny synagogi i odkopane, bazaltowe fundamenty kilku domów, które stały tuż nad brzegiem wody. Nad zarysem jednego z budynków wisi kościół w powietrzu, niczym marsjański spodek. Niestety, nie ma już tam cienia eukaliptusowych drzew, wyciętych tak niedawno.

Zbocza dzisiaj mniej zamieszkałe niż w starożytności, łagodnie schodzą do jeziora, porośnięte jak niegdyś bujną trawą i nielicznymi drzewami. Pamiętają wędrówki Jezusa. Tutaj *idąc kiedyś wzdłuż brzegu zobaczył Jezus dwu braci: Szymona, zwanego Piotrem, i brata jego Andrzeja, jak zarzucali sieć w jezioro. I rzekł do nich: „Pójdźcie za Mną, a uczynię was rybakami ludzi”. Oni natychmiast zostawili sieci i poszli za Nim.*

Nad jeziorem Jezus — mistyczny rybak — łowi w swoją niewidzialną sieć... ludzi. Oto pierwsi Jego uczniowie. Wezwani. Powołani. Któż może wiedzieć, co zaszło między nimi? Gdy patrzyli na siebie, wydarzyła się rzecz ukryta i dyskretna. Jezus nie dyskutował z nimi, nie zachęcał, nie tłumaczył, nie przekonywał. Nie uczynił niczego, aby ich olśnić, oczarować, zjednać, ukazać choćby kawałek nieba, skąd przyszedł. Nie dokonał na oczekaniu żadnego cudu. Przyszedł bardzo zwyczajnie wśród rozwieszonych, suszących się sieci, pomiędzy wyciągniętymi na kamienisty brzeg łodziami. Powiedział im trzy

proste, niepozorne słowa: *Pójdźcie za Mną*. A oni powstali i poszli. Pośród zwykłego dnia wchodzi pomiędzy ludzi nierozpoznany Bóg i mówi jak wtedy: *Pójdź za Mną*. Jakby to była rzecz najzwyczajniejsza.

Abrahama wezwał z domu, Mojżesza z pustyni, Dawida z pastwiska, Samuela ze snu, Maryję u źródła, Mateusza z celnego urzędu, Pawła na drodze do Damaszku. Iluż można przywoływać jeszcze? Każdego z nas także wezwał. Skąd? Najlepiej wiesz.

Jego głos jest czasem łagodny jak lekki powiew wiatru o zmierzchu, a innym razem gwałtowny niczym uderzenie piorunu. „Jego wołaniu — rozważa Paweł VI — towarzyszy moc i serdeczność zaproszenia, które ani nie traci niczego ze swej Boskiej potęgi, ani nie ogranicza wolności człowieka”.

Reakcja człowieka na wezwanie Boga bywa różna. Jedni, jak apostołowie, zostawiając wszystko idą za Nim. Drudzy wymawiają się i ociągają, podobni zaproszonym na ucztę z przypowieści ewangelicznej. Inni, jak bogaty młodzieniec, odchodzą. „Bóg wydał człowieka wolności” — zauważa Kazimierz Wójtowicz.

Życie chrześcijanina nie polega na respektowaniu przepisów, lecz na głębokim związku z Chrystusem, na wewnętrznej z Nim więzi. Wezwanie: *Pójdź za Mną*, kieruje nie tylko do tych, którzy mają zostać duchownymi, zakonnikami, ludźmi pobożnych dzieł i ślubów. Boski Mistrz każdego z nas prosi o towarzystwo.

Pójść za Nim, kiedy woła, chociaż nie zawsze dokładnie wiadomo, do czego. Zaufać Mu, mimo że celu nie objawi od razu. „Młodzi rybacy znad Jeziora Galilejskiego — pisał Amedée Brunot — którzy nie mieli innych horyzontów i innych ambicji, jak tylko swoje połowy ryb, przyjęli ryzyko wezwania”. Nie należy lękać się tego ryzyka. Jezus zapraszając do swego towarzystwa nie może dać mniej niż Samego Siebie, czyli „nie mniej niż wszystko”.

OSIEM PRAWD

Jezus, widząc tłumy, wyszedł na górę. A gdy usiadł... nauczał ich tymi słowami: „Błogosławieni ubodzy w duchu, płaczący, cisi, łaknący i pragnący sprawiedliwości, miłosierni, czystego serca, pokój czyniący, którzy cierpią prześladowanie” (Mt 5,2nn).

Góra Błogosławieństw — łagodne wzgórze porośnięte trawą, której nikt nie kosi. W dole, nad jeziorem pocięte płachetkami niewielkich zagonów, gajami mandarynek, królewskiego mango i fig, zaś w górze — bogactwo palm i zadbanych gazonów pełnych pachnących oleandrów i płomienistych kwiatów, wśród których biegną wypielęgowane alejki. Otaczają one ośmiokątny kościół, ażurowe cacuszko, pełne kolumn, łuków, stopni, tarasów, które upamiętnia tamto odległe wydarzenie.

Góra Błogosławieństw to Synaj chrześcijan, na której nowy Mojżesz — Jezus nadał nowe „przykazania”. Osiem błogosławieństw to „orędzie o szczęściu”. Synteza nauk Chrystusa. Błogosławieni ubodzy, płaczący... cierpiący prześladowania — czyż nie są to gorszące słowa? Czyż nie brzmią jak szyderstwo, kiedy ludziom ubogim, uciskanym, upokorzonym, prześladowanym mówi się, że są szczęśliwi? Czyż nie są odwrotnością tego, czego pragnie człowiek, każdy z nas? Przecież zwykliśmy myśleć przeciwnie: szczęśliwi bogaci, roześmiani, którym nie grożą cierpienia. W orędziu „ośmiu zdań” schodzi się i rozchodzi mądrość Boska i ludzka, mądrość Jezusa i nasza. Chrystus nie ogłasza nowych przykazań. On stwierdza fakty. Błogosławieństwa to stwierdzenia. Stary Testament jest systemem zakazów: „Nie zabijaj, nie cudzołóż, nie kradnij”. Jezus zaś mówi: możesz mieć udane życie, przestrzegając błogosławieństw. One sugerują szczęście trwałe. Bez końca. Jednak implikują bezustanną walkę, ciągłe stawianie czoła światu, długi marsz. Z ośmiu prawd wyłania się nie pewien typ człowieka, ale... twarz Jezusa. On był ubogim, cichym, łaknącym sprawiedliwości, miłosiernym, czystego

serca, prześladowanym. Kto żyje zgodnie z błogosławieństwami, staje się z wolna podobny do Tego, który je objawił i Sobą samym wyznaczył ich kres. W Kościele nie ma żadnego innego prawa, jak tylko Chrystus i wypełnienie Jego woli: „Nie pozostawił nam doktryn do badania — dopowiada Mario Pomilio — lecz życie do naśladowania”.

Błogosławieństwa — streszczenie Ewangelii. Prowokacja Boga, który mówi każdemu niepojęte słowa: „Kto traci, wygrywa”. To wezwanie do przemiany nas w nas, nie przez rezygnację ani pogodzenie się ze złem, ale przez przejście w rzeczywistość, gdzie liczą się tylko wartości prawdziwe, a nie ich pozory.

Błogosławieństwa — świat Boga. Świat nieznan. Nie mają kresu, podobnie jak nie ma kresu Ten, który je podyktował.

Wielu nie chce wejść w jakiegokolwiek błogosławieństwo. Dlatego pragnąc dobra czynią złe. Mówią o miłości, a obdarowują nienawiścią. Co innego myślą, a co innego robią. Tam gdzie jest światło, wprowadzają ciemność. Tam gdzie radość, zasiewają smutek. Tworzą historię i teraźniejszość pełną przemocy, zachłanności, egoizmu. Jezus, nie zrażając się do człowieka, staje naprzeciw niego i ofiarowuje ocalenie jego dziś i jutra.

„Jeśli postęp moralny nie pójdzie w parze z rozwojem techniki, jeżeli nie będzie równowagi między wiedzą człowieka a jego świętością, dojdzie do katastrofy. Głos ratunku mają dziś nie uczeni, ale wyznawcy ładu moralnego — chrześcijanie. Oni to z łaską mogą przywrócić równowagę” — mówił L. de Broglie.

Bóg proponuje nam, aby przekroczyć płaszczyznę rozumu i wejść w Jego mądrość. Wejść w mądrość Chrystusa — czyś gotów?

* * *

Błogosławieni ubodzy. Człowiek nie znajduje zabezpieczenia tam, gdzie szuka.

Błogosławieni płaczący. Hańba temu, kto bez jednej łzy patrzy na ból innych, gdyż to w nich cierpi Bóg.

Błogosławieni cisi. Cichość — niezadawanie gwałtu innym.

Błogosławieni, którzy pragną sprawiedliwości. „Dzisiaj jest nadmiar dobrych chrześcijan — pisał Carlo Caretto — a tymczasem świat współczesny potrzebuje sprawiedliwych, czyli świętych”.

Błogosławieni czystego serca. „Kto ma czyste serce? Ten, kto nie kała swego serca ani złem, jakie popełnia, ani dobrem, które czyni” — Ditrich Bonhoeffer.

Błogostawieni pokój czyniący. Pokój przychodzi na świat z ludzkich serc.

Błogostawieni cierpiący prześladowanie dla sprawiedliwości. „Bóg stoi po stronie ofiar”.

Błogostawieni miłosierni. Miłosierdzie to miłość, która ma moc odradzania.

POŚRÓD CIEMNOŚCI

Wy jesteście solą ziemi... Wy jesteście światłem świata (Mt 5,13-14).

Jezus, otoczony zasłuchanym tłumem na Górze Błogosławieństw, ma przed sobą w oddali po lewej i po prawej stronie ściany brunatnych wzgórz schodzące do jeziora. W tak przestrzennej scenerii kreśli dalsze zasady życia swoich wyznawców. Porównuje ich do soli i światła.

Wy jesteście solą ziemi... Sól chroni od rozkładu, zapobiega procesowi gnicia, konserwuje. Chrześcijanin przyrównywany do niej broni i zabezpiecza otoczenie przed zepsuciem. Dodaje także smak — „życiu”, jak sól potrawom. Lecz jeśli sól utraci swój smak, czymże ją posolić? — pyta Jezus. Chrześcijanin, który nie chroni świata przed moralnym zepsuciem lub sam mu się poddaje, jest jak sól, która wietrzeje i traci swoje właściwości. Mieszkańcy Wschodu wyrzucają ją wtedy razem ze śmieciami na ulicę, gdzie nieprzydatną przechodnie wdeptują w ziemię. Na nic się już nie przyda, chyba na wyrzucenie i podeptanie przez ludzi (Mt 5,13) — dopowiada ze znajomością szczegółów Jezus. Przejmujący jest obraz chrześcijanina, który w swoim życiu przez grzech sprzeniewierza się Mistrzowi. Jego dramat ukazywała praktyka wczesnego Kościoła, który na wzór tradycji synagogałnej — jak pisze ks. Jan Pytel — powracającemu odstępcy polecał położyć się w przejściu do świątyni i mówić do wchodzącego: „Podepcz mnie, gdyż jestem zwierzęcą solą”.

Sól jest także w Biblii symbolem mądrości. Wtedy człowiek nabiera niejako szczególnego smaku: postrzega i pojmuje siebie, ludzi oraz świat, tak, jak widzi i rozumie to Bóg.

Wy jesteście światłem świata... Jezus, który Siebie nazwał *Światłością świata* (J 8,12), w orędziu z Góry Błogosławieństw wzywa uczniów, aby życiem pełnym prawdy i dobra promieniowali na innych, jak światło pośród ciemności. Ono zawsze nadchodzi, aby oś-

wieć świat ludzkich mroków, rozpaczy, zła, krzywd, załamania samotności, grzechów.

„Światłość spojrzała w dół i zobaczyła ciemność.
Tam pójde — rzekła światłość...
I tak poszła, i roztoczyła blask”.

L. Hausman

Nasze życie zależy od Jego światłości. Czy można uciekać nadal w półmrok i ciemność od Jego blasku? A tym bardziej zamiast światła wnosić ciemność?

Tam, gdzie żyjesz, musisz świecić. Nie zapala się światła, aby się tylko paliło, ale by świeciło wokół. Każdy twój wybór lub jego zaniechanie, każdy twój krok, słowo czy gest skłaniają bliźniego do czegoś lepszego lub gorszego. Każdemu przekazujesz po wielokroć w ciągu dnia dobro lub zło. Im jesteś wyżej, tym silniejszy twój wpływ. *Nie może się ukryć miasto położone na górze* (Mt 5,14). „Bardziej odpowiedzialny jest ten, kto więcej wie, kto więcej ma i więcej może. Jeżeli stoisz wysoko, twoje pole widzenia jest obszerniejsze. Świat więc oczekuje od ciebie rady. Jeśli więcej posiadasz, świat oczekuje od ciebie pomocy. Jeśli jesteś znany, świat oczekuje od ciebie przykładu” — stwierdza Giovanni Albanese.

Niech świeci wasze światło przed ludźmi (Mt 5,16), a nie wasze słowa.

W POCHODZIE

Jeśli przyniesiesz dar twój przed ołtarz i tam wspomnisz, że brat twój ma coś przeciw tobie, zostaw tam dar swój przed ołtarzem, a najpierw idź i pojednaj się z bratem swoim. Potem przyjdź i dar swój ofiaruj (Mt 5,23-24).

Jeśli przyniesiesz dar twój przed ołtarz, włączasz się w nieprzeliczony tłum, który podąża przed oblicze Boga, odkąd istnieje człowiek. W trwającym od tysiącleci pochodzie niesione są kwiaty, snopy zboża, kosze owoców, stada zwierząt bez skazy, kadzidła, drogie kamienie, srebro i złoto, monety z wizerunkami cesarów, królów, książąt. Ten pochód ze wszystkich krajów i czasów bezustannie składa Bogu przed ołtarzami wszelkich religii dar pracy, myśli i serca. Dołącza do tego ofiarę złożonych w modlitewnym geście rąk, ugiętych kolan, postów i rozlicznych pokut.

Jezus powiada: gdy uczestniczysz w takim obrzędzie, a *wspomnisz, że twój brat ma coś przeciw tobie*, trzeba abyś przerwał w nim swój udział i odszedł. Bowiem dotykając rękami daru składasz z nim w ofierze samego siebie. Jeśli w tym szczególnym „prezencie” nie zawiera się ofiara twojego serca, które jest w zgodzie z braćmi, to jest on w oczach Boga bez wartości.

Problem stary, jak dramat ofiarny Kaina i Abla, a przecież ciągle przerabiany od nowa.

Miłości Boga nie da się oddzielić od miłości człowieka. Niejednokrotnie w drodze do Niego lub stając przed Nim chciałoby się ominąć człowieka. Jak dobrze — myśli niejeden — pozostać wyłącznie z Nim samym. Wystarczy Bóg na niebie i ja na ziemi... dobry dla psów, kotów i gołębi. Cóż nas obchodzi więcej. Po co w nasz świat dołączać ludzi? Taki obraz „pobożnego” odpycha nie tylko od niego, ale i od Boga. A cóż On w tym zawinił, że ktoś pod Jego pretekstem uprawia swoje „chrześcijaństwo w karykaturze”?

Wszelki rozdział pomiędzy człowiekiem a jego bratem jest rozdziałem między człowiekiem a Bogiem. „Pokój i jedność ze wszystkimi są podstawą pokoju i jedności z Bogiem, którego swoim darem chce uczcić i uprosić ofiarowujący” — dodaje A. Faudenom. Kto opuszcza ciasne granice swojego egoizmu, zwraca się ku drugiemu człowiekowi i jedna się z nim, poddaje siebie nowemu prawu Jezusa. Jego dar wprowadza go wtedy nie tylko przed oblicze Boga, ale i do wewnętrznej jedności z Nim. Wiara bowiem w nauce Chrystusa ujmuje człowieka i Jego Stwórcę, jako osoby związane ze sobą nierozłącznie. Miłość jednego warunkuje pełną miłość drugiego.

Jak ma się w takim razie do tego dar z używanych ubrań, rozdeptanych butów, rozdawanych rzeczy zbędnych, ponieważ nie mieszczą się już w naszych pełnych szafach? Czy czasami nie oskarża?

Słowa Jezusa o darze składanym przed ołtarzem kryją w sobie świat pojednania, a także gotowości odmiany serca. Bowiem „miłość jest zawsze kwestią gotowości — rozważa Piotr Lauster. Muszę się nastawić i otworzyć na przyjęcie drugiego człowieka, i w miarę możliwości być gotowy go pokochać. Cała tajemnica miłości to czujność duchowa i wolność, a tajemnica owej czujności i wolności polega na odwadze. Trzeba wielkiej odwagi, żeby własne uczucia śledzić, wnikliwie i bez uprzedzeń”.

Jeśli przyniesiesz dar twój przed ołtarz, włączysz się w ów nieprzeliczony tłum wszystkich wieków, który podąża przed oblicze Boga. Tylko jak z twoją gotowością?

MIŁOŚĆ ODWETEM

Miłujcie nieprzyjaciół waszych (Mt 5,44).

Na Górze Błogosławieństw Jezus odślania przed słuchającymi go uczniami horyzonty swojego Królestwa. Zaistnieć w nim można przez miłość, jednak taką, która nie zna granic. *Miłujcie nieprzyjaciół waszych* — powiada.

Aby człowiek mógł usłyszeć tę prawdę, odbył długą drogę w czasie. Początek tej drogi rozpoczął się w Księdze Rodzaju. Lamek, praprawnuk Kaina, mówił do swoich żon: *Gotów jestem zabić człowieka, jeśli mnie zrani... Jeśli Kain miał być pomszczony siedmiokrotnie, to Lamek siedemdziesiąt siedem razy* (Rdz 4,23-24), głosząc tym samym stosowane wtedy prawo krwawej zemsty.

Gwałtowność ludzi Wschodu ograniczył w wiele wieków później Hammurabi, stanowiąc w swoim kodeksie rewelacyjne i postępowe naówczas prawo sprawiedliwości: „oko za oko, ząb za ząb”. Tylko tyle. Mojżesz w pięć wieków później podyktował swojemu ludowi podobny nakaz: w sytuacji, w której jeden wyrządzi drugiemu jakąś szkodę, wówczas *odda życie za życie, rękę za rękę, ranę za ranę, siniec za siniec* (Wj 21,24-25).

Jezus poszedł o wiele dalej.

Zakazuje odwetu, który nie tylko nie wyrównuje krzywdy, ale rodzi następne krzywdy i kolejne akty zemsty. Odwet niesie śmierć i jeżeli się go uruchomi, wszyscy stają się jednocześnie krzywdzicielami i krzywdzonymi. Nienawiść bowiem nie tyle niszczy tych, przeciw którym jest skierowana, ale przede wszystkim tych, co nienawidzą. Jezus zakazując prawa zemsty, pragnie uwolnić człowieka od samozniszczenia. „Nienawiść chce przebić mieczem nienawidzonego, lecz ostrze może go osiągnąć dopiero wtedy, gdy przejdzie przez nasze własne ciało” — pisał św. Augustyn.

Jezus tworzy nowe prawo nakazując: *Miłujcie nieprzyjaciół waszych*. Kiedy mówi o miłości, nie oczekuje jednak demonstracji uczuć

wobec wrogów ani traktowania ich jako przyjaciół. O miłości nie-
przyjaciół bowiem decydują nie uczucia, lecz postawa pełna dobrej
woli, która sprawia, że nie przekreśla się w nich człowieczeństwa
i nie pragnie ich zła.

Wielu ludzi jednak wypełnia niechęć i gniew przeciwko drugim.
Świat w rozlicznych miejscach jest nadal areną niepokojów, kon-
fliktów, walk i wojen. To zwielokrotnione nienawistne słowa i złe
spojrzenia, które w codzienności rzuca jeden drugiemu. Dlatego nie
może mówić o swej niewinności ten, kto ze swego życia wyrzucił
miłość.

Religia Chrystusa jest religią „miłości, która — powiada Amedée
Brunot — nie wypływa ani z ciała, ani z krwi, lecz z serca zamiesz-
kanego przez Boga”.

„Jeśli człowiek przez swoją miłość potrafi nadać sens życiu choćby
jedynemu z ludzi, to już jego własne życie nieskończenie się opłaciło.
I tak pozostanie zawsze... Żadna reforma i żadna rewolucja nie
sprawi, że dar miłości stanie się niepotrzebny. W świecie pełnym
obcości i wrogości miłość okazana przez kogoś... była zawsze wyz-
woleniem. Tylko pomagając zbawić się innym, sami doznajemy zba-
wienia. Tylko ochraniając innych, sami znajdujemy ochronę. Tylko
troszcząc się o innych, sami stajemy się przedmiotem troski. Kto na
serio zaczyna bronić innych, sam u nich znajduje ratunek” — pisał
kardynał Józef Ratzinger. Może dlatego jesteśmy dzisiaj tacy nie-
życzliwi i zgorzkniali, tak bezradni i pełni pretensji, że każdy usi-
łuje pomóc wyłącznie samemu sobie?

KOMU SIĘ WYNAJAĆ

Nie można dwom panom służyć (Mt 6,24).

Góra Błogosławieństw jest niemyim świadkiem najpiękniejszych słów Jezusa. Z niej patrzył na leżące w dole roziskrzone słońcem Jezioro Galilejskie. Na łodzie wpływające do małego portu w Kafarnaum, widoczne jak na dłoni. Na pobliskie wzgórza obsypane wielobarwną roślinnością. Wśród przestrzeni, blasków i ciszy — dostępnych tam także dzisiaj — Jezus mówił o umiejętności widzenia i dysponowania własnym życiem: *Nikt nie może dwom panom służyć. Bo albo jednego będzie nienawidził, a drugiego będzie miłował; albo z jednym będzie trzymał, a drugim wzgardzi. Nie możecie służyć Bogu i Mamonie.*

W czasach Chrystusa słowo „mamona” pisano dużą literą i uważano za boga. Oznaczało bogactwo i wszelkie zawarte w nim możliwości.

W praktyce mamoną bywa to wszystko, czemu człowiek poświęca najwięcej swojej uwagi, sił, czasu; najlepszą część swego „ja”. Są nią także wszelkie wartości i bogactwa, którym w całości oddaje siebie samego i pokłada w nich jedyną nadzieję.

Mamona. Rzeczywistość ziemską i jej potencjał ukryty w tym określeniu uzurpują sobie częstokroć w życiu naczelne miejsce. Przystają być środkiem i pomocą, stają się zaś celem i panem. *Nie możecie służyć Bogu i mamonie* — powiada Jezus — bowiem wzajemnie się wykluczają.

Mamona czyni człowieka bogatym, ale czy szczęśliwym? Szczęście nie przychodzi razem z czekiem bankowym. „Za pieniądze możesz nabyć wszystko” — głoszą z wszelkich murów i płotów plakaty reklamowe. Owszem, można kupić piękny dom, ale za żadną mamonę nie można nabyć domowej atmosfery i bezinteresownej zyczliwości. Można kupić wygodne łóżko, ale nikt nie kupi spokojnego snu. Można kupić rozrywkę, ale czy radosne serce? — rozważa Giovanni

Albanese. Mamona otwiera wszystkie drzwi, tylko nie drzwi ludzkiego serca.

Troska o codzienność, o pieniądze, o lepsze warunki, o zdrowie, o urodę, o szczęście — jest naturalna i potrzebna. Dobrze, gdy człowiek umie je zdobywać i jeśli zna się na aucie, komputerze czy modzie. Jednak światu dóbr i rzeczy należy wyznaczyć — powiada Jezus — właściwe miejsce i odpowiednie granice, bowiem oszczędność przechodzi w chciwość, uczynność w zaborczość, roztropność w zaślepienie. I wtedy człowiek staje się sługą, a potem niewolnikiem rzeczy, powodzenia, mamony. Nie spotyka szczęścia. Nie spotyka Boga.

BOŻY URODZAJ

Jezus rzekł do uczniów: „Żniwo wprawdzie wielkie, ale robotników mało. Proście Pana żniwa, żeby wyprawił robotników na swoje żniwo” (Mt 9,36-38).

Świat w przytoczonej krótkiej wypowiedzi Jezusa jawi się jako łąka w słońcu. Na nim dojrzewają ludzie w swoim człowieczeństwie. Bóg przez tysiące lat obsiewa świat. Jednak zanim pole zafaluje jasną zielenią, urodzaj spotykają deszcz, śnieg, chłód i przymrozki. W dziejach zdarzają się także okrutne zimy. Boży urodzaj wydany bywa na niszczące burze historii. Bóg się jednak nie zniechęca. Obsiewa bezustannie świat i troszczy się o zasiew. O jego przyszłości myśli uparcie.

On jest Panem pola i łąki. Ową tajemniczą postacią z wschodnich bazylik, o nieprzeniknionym obliczu, z wielkimi rozszerzonymi źrenicami, patrzącą daleko przed siebie w poświęcenie złotych mozaik.

W lapidarnym zdaniu Jezusa: *Żniwo wprawdzie wielkie, ale robotników mało. Proście Pana żniwa, żeby wyprawił robotników na swoje żniwo*, uderza sposób Jego myślenia. Swym uczniom nie mówi: idźcie do żniwa, włączcie się do pracy, poszukajcie innych do pomocy. Wobec dojrzałego łąki, czekającego na skoszenie, wypowiada zaskakujące zdanie: *Proście Pana żniwa...* Czyli módlcie się o to, *żeby wyprawił robotników na swoje żniwo.*

Jak ma się do tej wypowiedzi wysiłek ludzki, mrówcze zabieganie, kołowrót nakręcany od świtu do zmierzchu, bieżanina, przyspieszenia i wszelaka hiperaktywność, którą tak wielu uznaje jako jedyne rozwiązanie?

Współcześni powołują się w tym miejscu chętnie na łacińską sentencję: „laborare est orare” — „praca jest modlitwą”. Ludzie mogą nie tylko ubogacać się przez pracę, naukę, czynności dnia, ale także i uświęcać. „Bóg we wszystkim, co jest w Nim najbardziej żywego i wcielonego, nie jest od nas daleko, nie jest całkiem odsunięty od

świata, który widzimy, słyszymy, wachamy, dotykamy i smakujemy. Wręcz odwrotnie — podkreśla z naciskiem w „Środowisku Bożym” Teilhard de Chardin — oczekuje nas w każdej chwili w naszym działaniu, w każdorazowej pracy. W pewnym sensie jest na końcu mojego pióra, mojej łopaty, mojego pędzla, mojej igły, mojego serca i mojej myśli. Pociągając pędzlem, pisząc wiersz lub wykonując ścieg z chęcią nadania mu doskonałego, naturalnego wyglądu, dostrzegam ostateczny kres, do którego z całej swej głębi zmierza moja wola”. W pewnym więc sensie praca jest modlitwą. Codziennosc uzyskuje wartość nieprzemijającą. Niemniej takie rozumowanie staje się częstokroć wymówką — ludzie ustawicznie zabiegani, napięci, pochłonięci sprawami dnia, nie znajdują czasu sposobnego, aby wstąpić w wezwanie Jezusa: *Proście...*

„Jeśli człowiek ograniczy się tylko do pracy, możliwe, że spędzi życie użytecznie, lecz nigdy nie osiągnie świętości, do której jest powołany. Historia ukazuje, że było wielu świętych, którzy nie potrafili uczyć, nie potrafili pisać czy pielęgnować chorych, czy głosić kazań, lecz nie ma świętego, który by się nie modlił” — przypomina Bernard Bossuet. Modlitwa i jej tajemnica spotkania nadają ludzkiemu działaniu dopełnienie i niejako stygmat wieczności.

Zachęta Jezusa: *Proście* odsłania Jego postawę wobec uczniów, których nie chce mieć jedynie jako wykonawców dzieła. Zaprasza ich do uczestnictwa w działaniu Boga. Poprzez prośbę skierowaną do Boga człowiek pragnie dzielić z Nim troskę tyczącą pola i ładu. W modlitwie ogląda nie tylko swój mały zagon, niewielką działkę własnego życiorysu, ale cały łąn, za który coraz bardziej czuje się współodpowiedzialny. W czasach, gdy myśli wielu zaprzątnięte są tylko zyskiem i opłacalnością, trzeba na nowo odkrywać *żniwo wielkie* i siebie jako osobiście zaproszonego przez Boga.

Zachęta Jezusa do modlitwy: *Proście* niech stanie się raz jeszcze początkiem każdej solidnej działalności, naprawy siebie, życia religijnego, gospodarczego, politycznego, społecznego także.

DRZEMIĄCY OLBRZYM

Jezus rzekł: „Nie bójcie się” (Mt 10,28).

Spotykam ludzi, którzy coraz częściej odczuwają lęk. Strach bardziej niż dotąd przenika życie. Do starych tropów bojaźni, jakie bezustannie wracają wcześniej lub później do każdego niczym bumerang, z powodu samotności, porzucenia, choroby, starości, strachu przed śmiercią, dołączyły nowe dla tego pokolenia: lęk przed inflacją, niedostatkiem, przed bezrobociem, przed ryzykiem życia dojrzałego, przed zaangażowaniem się w życie społeczne, polityczne — zagmatwane w gąszczu niedopowiedzianych programów i nie w pełni jasnych intencji.

Do strachu od uroków, trzynastki, czarnego kota przebiegającego drogę i nieuniknionego losu, dołączył strach przed napadami o wieczornej porze, przed okradzeniem, przed zatrutą wodą, ziemią, powietrzem i całkiem ostatni, wyływający z łączenia się jednych sąsiadów i ewentualnego rozpadu drugich oraz ten najcięższy — strach przed poczuciem braku sensu w życiu.

Uwolnieni zostaliśmy od zagrożenia wojną, również tą zimną, odsunął się lęk grzyba atomowego i kilka dramatycznych konfrontacji. Ale lęków jest coraz więcej, ich krąg się poszerza i z zazdrością można patrzeć na dawne pokolenia, które wszystkie swoje zagrożenia i lęki zamknęły w krótkiej modlitwie — suplikacji, wyśpiewując do Świętego Boga:

„Od powietrza, głodu, ognia i wojny — wybaw nas, Panie.
Od nagłej i niespodziewanej śmierci — zachowaj nas, Panie.”

W pełną zagrożeń współczesność przychodzi Chrystus i ofiaruje świat ukryty za słowami: *Nie bójcie się*. Ofiaruje teraźniejszość i przyszłość wyzwoloną ze strachu. A jeśli i... lęk, to szczególny. Kto bowiem wierzy, boi się tylko Boga, kto nie wierzy, boi się całej przytoczonej listy lęków i o wiele większego ich spisu, jaki znajduje się

w sercach i umysłach. „Kto boi się Boga, żyje w nadziei; kto boi się losu, żyje w lęku i zagrożeniu. Bać się Boga — to mądrość; bać się uroków — to głupota. Bać się Boga — to rzecz męska; bać się złud i różnych przedmiotów — to dziecinada” — pisał Giovanni Albanese.

Strach rodzi agresję lub jeszcze większy lęk, ucieczkę w przemoc albo w bierność i rezygnację. Strach nie tylko uniemożliwia spokojne i pogłębione spojrzenie na człowieka i świat, ale paraliżuje nasze dziś i jutro. Jezus przychodząc ze swoją ofertą ukazuje wyjście ze świata lęku i zagrożenia. Jego *Nie bójcie się*, jest zaproszeniem do podjęcia mocy i nadziei, jakie spoczywają w dłoniach Boga.

Nie bójcie się. Odpowiedź Jezusa na strach, jaki rośnie we współczesnym człowieku, w ludziach i w świecie, podjął Ojciec Święty Jan Paweł II w swoim przemówieniu, inaugurującym jego pontyfikat. Uczynił z niej przesłanie swego papieskiego posługiwania. Z placu Św. Piotra do dziś brzmi w uszach tanto dramatyczne wołanie do świata:

„Nie lękajcie się! Otwórzcie, otwórzcie na oścież drzwi Chrystusowi! Otwórzcie drzwi Jego zbawczej władzy, otwórzcie jej granice państw, systemy ekonomiczne i polityczne, szerokie obszary kultury, cywilizacji i rozwoju. Nie lękajcie się! Chrystus wie »co kryje się we wnętrzu człowieka«. Jedynie On to wie!

Dziś człowiek tak często nie wie, co nosi w sobie, w głębi swej duszy, swego serca. Jak często jest niepewny sensu swego życia na tej ziemi. Ogarnia go zwątpienie, które przeradza się w rozpacz. Pozwólcie więc, błagam was z pokorą i ufnością, pozwólcie Chrystusowi mówić do człowieka. Jedynie On posiada słowa życia — tak: życia wiecznego”.

Wezwanie to jest jakby zrodzone dzisiejszego poranka. Jego głębia i aktualność ukazują drogę wyjścia z osaczenia, jakie przynosi obecny czas. Trzeba obudzić drzemiącego w człowieku olbrzyma, który przez swoją duszę sięga wieczności. Kolejny raz zaprosić w życie Chrystusa, który mówi słowami Biblii:

*Zrzuć swą troskę na Mnie, a Ja cię podtrzymam.
Nie bój się. Ja jestem z tobą.*

NA POZIOMIE REKODZIELNICTWA

Kto nie bierze swego krzyża, a idzie za Mną, nie jest Mnie godzien (Mt 10,38).

Kto nie bierze swego krzyża... Na drodze wiary chrześcijańskiej krzyż jest kamieniem, o który potyka się wielu ludzi. Nie można kochać życia i kochać krzyża. A jednocześnie nie można wierzyć i odrzucać krzyż.

Kto nie bierze swego krzyża... Krzyż ma niezliczone postaci: samotność, niezrozumienie, rozdarcie wewnętrzne, choroba, niedostatek, konflikty, zagrożenia, śmierć, miłość, która umarła... i w jakimś czasie wyrasta w sposób nieunikniony w życiu każdego. Gdy spotyka człowieka, zjawia się w nim powracające natarczywie pytanie: jak go porzucić, jak ominąć, jak od niego uciec? A kiedy krzyż przywiera coraz bardziej i rośnie od wewnątrz, rodzi krzyk i bunt.

Jezus nie był teoretykiem. Na wszystkie Jego dni krzyż także kładł się cieniem — jako bezdomność, ubóstwo, niezrozumienie, zagrożenie, a w końcu wyrósł krzyż prawdziwy i na nim On — rozpięty Skazaniec. Od początku jednak dla Jezusa rzeczywistość zamknięta w słowie „krzyż”, razem ze swoim finałem, nie była przypadkiem ani fatalnym nieporozumieniem. Pojmował go jako dobrowolne i dokładne wypełnienie woli Ojca, jako oddanie Mu własnej wolności.

Posłuszeństwo Bogu przez wielu ludzi bywa źle rozumiane lub nie rozumiane wcale. Jawi się jako ograniczenie. Stąd o krok do odmowy. Do odmowy rozumienia krzyża także, krzyża — znaku wiary, wiary pojmowanej jako wolność własna ofiarowywana Opatrzności. Czy jednak Bóg tłumi tę wolność, czy ją pomnaża? Czy przyjętą zamienia w przeznaczenie, los lub wielką konfiskatę naszych inicjatyw?

Prawdziwa wolność nie jest całkowitą niezależnością ani swawolą czy anarchią. Jest ona pojmowana jako „kształtowanie własnego ist-

nienia w obliczu dobra”, którym jest Ojciec. Być wolnym, to móc w pełni rozwijać samego siebie, tworzyć życie w obliczu Boga. W człowieku tkwi wewnętrzny imperatyw własnego rozwoju i on warunkuje naszą wolność: „Jeśli się ją traci, traci się wszystko, smak istnienia także. To prawda, że w wieku elektroniki w dziedzinie wolności ciągle jeszcze pozostajemy na poziomie rękodzielnictwa” — pisał Bernard Bro.

Kto nie bierze swego krzyża... Podjąć krzyż w rozumieniu jego głębokich, niepojętych znaczeń. Nie jako ciężar, który ma zniszczyć i wdeptać, ale jako wydarzenie, które, jeśli dosięgnie człowieka, może stać się wówczas dla niego wartością i szansą. Prawdziwa wolność jest możliwa, jeśli istnieje zawierzenie. Jest ona pełniejsza, gdy zawierzenie staje się bezwarunkowe. Tą drogą poszedł Chrystus. Krzyż uwięził ręce i nogi Boga — Człowieka, a jednocześnie w Nim stał się miejscem największej wolności. Jezus do końca swej męki kroczył w wolności. Pomimo krzyża, gwoździ, mroku agonii, „wolny aż po śmierć z wolności”. W pełni poddany Ojcu, jednocześnie w pełni wolny. I paradoksalnie Jego śmierć „to największe w historii wyładowanie wolności” — napisał Gerard Bessiere.

Krzyż może być polem wolności, na którym wyrzekając się nadmiaru własnej miłości lub świadomie przyjmując utrudzenia dnia czy cierpienie, życie nabiera nowych wymiarów. Wypełniając wolę Ojca ludzie stają się wolni. Bóg dając nam wolność oparł na niej nie tylko nasz los, ale i Swoje własne działanie w świecie. Od przeżywania wolności przez człowieka zależą jego losy oraz losy królestwa Boga. Ta wolność przyjęta i ofiarowana przez człowieka Bogu jest sposobem Jego obecności czynnej w świecie. Wynika z tego porażające stwierdzenie, które wypowiedział Bierdiajew: „To nie człowiek, to Bóg nie może się obejść bez ludzkiej wolności”.

Kto nie bierze swego krzyża, a idzie za Mną, nie jest Mnie go-dzien. Jezus mówiąc o warunkach wędrowania ze Sobą zaprasza nie do akceptowania postawy cierpiętniczej, ale do wyboru, za którym kryje się wolność. Jej rozmiary kreśli samym Sobą.

PRZYSŁONIĘTY BLASK

Uczcie się ode Mnie, bo jestem cichy (Mt 11,29b).

„Cichość”, do której zachęca Jezus, to jedna z cech ludzi słabych i zniewieściałych. Tak sądzi się potocznie. „Niełatwo jest mówić o cichości po Nietzsche i po wielu innych, którzy głosili pochwałę gwałtu. Na skutek rozmaitych wpływów przyjęto stawiać znak równości między siłą i mocą a gwałtem, i między łagodnością a słabością. Ewangeliczny paradoks polega na twierdzeniu — pisze C.Tresmontant — że właśnie łagodność jest pełna mocy, że prawdziwa moc jest łagodna, a nie gwałtowna... Utożsamianie człowieka mocnego z człowiekiem, który zabija i morduje, to przestawienie porządku wynikające z urojeń, i to urojeń człowieka chorego”.

Uczcie się ode Mnie, bo jestem cichy. Chrystus od początku do końca swego życia nie chciał wywierać nacisku na serca ludzkie, nie chciał panować nad ich myślami. Jako Bóg nie rościł sobie władzy nad ludźmi. Nie pragnął zawładnąć żadnym człowiekiem ani przez zaskoczenie, ani przez zręczne pociągnięcia, ani przez zastraszenie. Miał do dyspozycji potęgę materii i ducha, a przecież do człowieka wybrał się jedynie jako „sługa cichy”, jako Bóg bezbronny. Przechożąc przez świat nikogo nie łamał, nie niszczył, nie wdeptywał... Wszyscy, którzy wejdą w Jego ślady — powiada w Błogosławieństwach — *na własność posiadą ziemię.*

W Jezusie objawia Bóg, jak bardzo szanuje człowieka. Działa dyskretnie, żeby nie zmiadzić istoty stworzonej, żeby nie oślepić i nie opanować zbyt łatwo. Przesłania blask swej chwały, łagodzi swoją moc. Piotr pisał u schyłku życia do chrześcijan w Azji Mniejszej o Nim, chodzącym pośród ludzi: *On, gdy Mu złorzeczono, nie złorzeczył, gdy cierpiał, nie groził, ale oddał się Temu, który sądzi sprawiedliwie (1P 2,23).*

Propozycja Jezusa skierowana do świata: *Uczcie się ode Mnie, bo jestem cichy*, jest ciągle aktualna. Do świata, który jest głośny i u-

wikłany w wielu miejscach w rozwiązania siłowe. Ile jest jeszcze krajów, w których stosuje się siłę i przemoc. Państwa totalitarne, reżimowe, policyjne — przez gazy, pałki, strzały chcą zawładnąć swoimi obywatelami. Dążą, aby narzucić im swoje myśli, swoje systemy, swoje porządki. Chrystus mówi, że *tacy nie posiadą ziemi*. Ich czas jest krótki. Historia zaś dopowiada, że im większa przemoc, im głośniejsze pokrzykiwanie, im większy terror, tym krótsze było ich panowanie.

Uczcie się, bo jestem cichy. Wezwanie Mistrza z Galilei kierowane jest wszędzie tam, gdzie jedno narzuca poglądy drugiemu: mąż żonie, żona mężowi, brat siostrze, przyjaciel przyjacielowi, nauczyciel uczniowi, przełożony podwładnemu. Narzuca zwyczaj, sposób myślenia i postępowania. Narzuca groźbą, awanturą, przemocą, szantażem. Wszelkie napięcia, rozdygotane nerwy i konflikty — wyrosłe z tej postawy — niech zostaną poddane szkole cichości, mówi Jezus.

„Cichość” bowiem oznacza niezadawanie jakiegokolwiek gwałtu innym. Chrześcijanin nie przymusza, nie narzuca poglądów, myśli, woli, struktur. Tolerancyjny dla drugich, wymagający dla siebie. „Gwałtowny jest tylko wobec samego siebie” — pisze Jean Claude Barreau.

A więc „cichość” i związana z nią prawdziwa moc tkwią w łagodności, nie zaś w gwałtownych reakcjach; w dobroci — nie w represjach; w tworzeniu — nie w niszczeniu; w tolerancji — nigdy w przymusie.

ZASIEW

Jezus powiedział: „Oto siewca wyszedł siać. A gdy siał, niektóre ziarna padły na drogę, nadleciały ptaki i wydziobały je. Inne padły na miejsca skaliste, gdzie niewiele miały ziemi; i wnet powschodziły, bo gleba nie była głęboka. Lecz gdy słońce wzeszło, przypaliły się i uschły, bo nie miały korzenia. Inne znowu padły między ciernie, a ciernie wybijały i zagłuszyły je. Inne w końcu padły na ziemię żyzną i plon wydały, jedno stokrotny, drugie sześćdziesięciokrotny, a inne trzydziestokrotny” (Mt 13,3-8).

Wiara chrześcijańska opiera się na Słowie, Słowie Przedwiecznym, które *było na początku u Boga* (J 1,2). A kiedy nastąpiła pełnia czasu, *Słowo stało się ciałem i zamieszkało wśród nas* (J 1,14). Słowo w życiu Boga ma szczególne miejsce. On zawierzył Siebie i Swoje orędzie tej kruchej rzeczywistości. Stąd chrześcijaństwo ma powiązania wewnętrzne ze słowem jako takim. Nie może zrzec się tego szczególnego stosunku do słowa nawet teraz, gdy do głosu dochodzi coraz bardziej cywilizacja ikonograficzna.

W zwiewnym słowie człowieka bywa ukryty głęboko Bóg i Jego działanie. Słowo u b e c n i a Boga. Podczas Mszy Świętej słowa konsekracji: *Bierzcie i jedzcie... to jest Ciało Moje*, przyprowadzają Chrystusa z ukrytych źródeł wieczności. Słowo u m o ż l i w i a Bogu d z i a ł a n i e — w sakramentach i przepowiadaniu. Sakramentalne: „Ja ciebie chrzczę” wprowadza w najgłębsze sfery Boga i człowieka, czyniąc pomiędzy nimi więź silniejszą niż więzy krwi.

W chrześcijaństwie Słowo odsłania twarz kosmicznego Boga, nazywa Nienazywalnego, przybliża i zamyka nieskończoność. Jezus stworzył własny język w oparciu o świat proroków. Świadectwo ewangelistów, pomimo redakcyjnych wstawek, ukazuje nam człowieka o silnej osobowości i o jedynym w swoim rodzaju języku. Cytowane teksty ukazują, że Jezus posiadał sztukę narracji, wykorzystywał obrazowość paralelizmu, przenośnię. Przypowieść,

jako gatunek literacki, była znanym zjawiskiem w tamtejszym kręgu kulturowym. Ale On doprowadził ją do perfekcji. Nikt przed Nim, ani po Nim, nie posługiwał się tak przypowieścią. Jezus nie pozostawił po sobie spuścizny pisarskiej, ale Jego słowa mają moc i przemieniają bezustannie świat, przywołują nieskończoność.

Słowo — tajemny świat. Oto słowo człowieka potrafi nagle stać się słowem Boga. Podobne jest do Eucharystii. W słowie Chrystus zamknął swoje przesłanie. W słowie w jakiś sposób zamieszkał. Tradycja Kościołów Wschodu objawia ten sens, kiedy kładzie Pismo Święte razem z Chlebem Eucharystycznym do tabernakulum. Dlaczego więc Słowo Boga wywołuje u wielu szczególną skłonność do beztroskiego potakiwania? Może dlatego, że Boskie Słowa stały się prywatną własnością małych mózgów...

Jak usłyszeć Słowo? W każdej książce za wszelką cenę szukamy skuteczności i użyteczności. Od zadrukowanych stron żądamy jedynie szeregu informacji. Wiemy z góry, czego chcemy od danej książki i szukamy w niej tylko tego. Biorąc do ręki Biblię nie można ograniczać się tylko do takiego czytania. Tekst trzeba rozważać sam w sobie jako cel. Kto z nas nie pamięta opuszczanych w lekturze szkolnej opisów przyrody? Jak odczytywać tekst? To snuć wokół niego swobodną myśl, tracić z oczu dosłowny sens, aby pozwolić wypłynąć innemu. Taka umiejętność czytania obecnie gdzieś zaginęła. A dopiero wtedy słowo nabiera więcej znaczeń, im bardziej je zgłębiamy bez z góry powziętych rozstrzygnięć. Za każdym razem potrafić odkrywać w nim inne obszary.

Czytanie Biblii, ciągle na nowo, bez pośpiechu, w prostocie, zatrzymując się przy każdym zdaniu czy słowie, jak zachwycony turysta w kolejnej przełęczy lub na górze. Dzisiejszym chrześcijanom brak tej umiejętności. W słowie nie potrafią zobaczyć świata. Sądzą, że znają już wszystko. To było, myślą. A przecież w słowie jest obecność ukryta (jak w modlitwie). Nie jest ono lustrem ani projekcją czytającego. Nie jest także li tylko źródłem informacji. Przede wszystkim wprowadza jakby za rękę w tajemny, wewnętrzny świat.

Przywołana przypowieść o siewcy ukazuje zagon ludzki — szczególne pole do zasiewu. Obsiewane przez tysiąclecia. Współczesny świat przepełniony jest słowami. Nawołują, krzyczą, uderzają z ulicznych ogłoszeń, z gazet, z radia i telewizji, z licznych trybun i mów. Świat tonie w słowach — bezosobowych, bezbarwnych, pustych, podejrzanych; w słowach, które niewiele lub nic nie znaczą. To substancja, która od rana do nocy płynie do uszu jak woda z kra-

nu. Jak przez ten szum informacyjny usłyszeć Słowo, które karmi, ożywia, ocala?

Każdy jest polem do zasiewu. Przychodzi na nie Chrystus. Odwieczny Siewca. Rozsypuje słowa jak ziarna. Rozsypuje hojnie. Rytm ludzkiego serca dostosowany jest do tych słów. One mają moc ukształtować człowieka. W nich świat i ludzie mogą zyskać pełnię życia.

Boże
gdzie mam lec
gdy przychodzisz aby
Twoje ziarno nie padło
na marne
co mam robić
aby nie okazać się
ani drogą
ani skałą
ani cierniem
jestem częstką materii chciwą
Twego posiewu
rzucasz od dawna ziarno tu gdzie rzucasz
a ja jestem gdzie jestem
często nie mogę się przesunąć
ani przemienić na tyle
aby się nie zmarnowało
zasiej mnie na nowo
choć lękam się ptaków słońca drogi
w ciszy zasiewu objaw raz jeszcze
Siebie

SIEWCA DNIA SIEWCA NOCY

Jezus przedłożył uczniom przypowieść: „Królestwo niebieskie podobne jest do człowieka, który posiał dobre nasienie na swojej roli. Lecz gdy ludzie spali, przyszedł jego nieprzyjaciel, nasiał kłkolu pomiędzy pszenicę i odszedł. A gdy zboże wyrosło i wypuściło kłosa, wtedy pojawił się i kłkol. Stłdzy gospodarza przyszli i zapytali go: Chcesz, żebyśmy poszli i zebrali go? Nie, byście zbierając kłkol nie wyrwali razem z nim i pszenicy. Pozwólcie obojgu rósć aż do żniwa; a w czasie żniwa powiem żeńcom: Zbierzcie najpierw kłkol i powiążcie go w snopki na spalenie, pszenicę zaś zawieźcie do mego spichlerza” (Mt 13,24-26,28-30).

Przypowieść o kłkolu jest historią o człowieku. Każdy z nas jest „polem pod gwiazdami”, zasiewanym *dobrym ziarnem* przez Boskiego Siewcę. Życie ukazuje jednak, że na owym polu wschodzą rośliny nie tylko dobre. Rośnie i kłkol. Jest go wiele. Swoje istnienie zawdzięcza on nocnemu siewcy, który będąc nieprzyjacielem człowieka przychodzi w skrytości. Jego zasiew jest bujny. Gdyby wyrwać kłkol, niejedno pole stałoby się śmiesznie łyse, z rosnącymi gdzieniegdzie kępami dobra.

Jezus objawia, że zło od którego mrowi się na świecie, przychodzi z daleka. Nie jest ono abstrakcją ani ideą. Jest kimś. Zło jest osobą, jest szatanem. Mistrz z Galilei nie stawia demona na pierwszym miejscu, mówi o nim jednak z całą powagą.

Kłkol biblijny — *zunin* — jest zieleń niepodobnym do naszego, rodzimego, usianego bładoniebieskimi kwiatami. Na polach palestyńskich przez wiele tygodni po zasiewie nie sposób odróżnić go od pszenicy. Podobnie zło, które pada wśród dobra, nie zawsze można spostrzec na początku, bowiem stara się do niego upodobnić. Diabeł, „smutna małpa Pana Boga”, zręcznie zaleca się jako dobro. I w tym tkwi jego niebezpieczeństwo. Bóg, gospodarz z przypowieści, nie godzi się na zło, ale je dopuszcza. Szanuje bowiem wolność każdego,

kogo stworzył. Szanuje także wolność szatana, której kres nadejdzie w czas żniwa.

W gęstwinie dojrzewającego ładu są splątane ze sobą pszenica i kłkol. Dlatego powiada Luigi Santucci: „W decyzji, którą podejmuję wielkodusznie i niewinnie, kiełkuje natychmiast jakieś samolubne wyrachowanie, w spojrzeniu życzliwym i pomocnym — zadowolona z siebie pycha, we współczującej pieśczości — rozwiążność, a w dziękczynnej modlitwie wieczornej — tchórzliwy zabobon”. Może nadszedł już czas, aby wyrwać kłkol, a z nim świat skażonych czynów i wątpliwych motywacji? Lub przynajmniej je rozróżnić, nazwać i zaniechać?

Cokolwiek się wydarzy, jedno jest przede wszystkim pewne, że Bóg nigdy nie pozwoli kłkolowi zagłuszyć zboża. Nie dozwoli, aby zło zagłuszyło tych, którzy szukają Go. Ostateczne słowo należy do dobra. Zaś kłkol w Jego planach nie tylko nie szkodzi, ale może posłużyć i do tego, aby wyżej i szybciej wzrastał łąn pełen wiary i miłości.

Nawet więcej. Biblijny kłkol może przemienić się w urodzajną pszenicę. „A jeśli niemożliwością jest, aby kłkol stał się kiedyś zbożem — pisze Amedée Brunot — to czyż nie jest również pewne, że na Bożych łąnach rozbójnicy stają się świętymi, prześladowcy przemieniają się w apostołów, osoby uważane za stracone przemieniają się w ludzi prawych i dobrych. Pozwólcie *obojgu rósć aż do żniwa*. Jakież będzie wtedy zdziwienie, gdy stwierdzimy, że kłkol jest nieskończenie mniej liczny, niż podejrzewaliśmy”.

OTWARTE BRAMY

Królestwo niebieskie podobne jest do skarbu ukrytego w roli. Znalazł go pewien człowiek i ukrył ponownie. Z radości poszedł, sprzedał wszystko, co miał i kupił tę rolę. Dalej, podobne jest królestwo niebieskie do kupca, poszukującego pięknych pereł. Gdy znalazł jedną drogocenną perłę, sprzedał wszystko, co miał i kupił ją (Mt 13,44-46).

Jezus Chrystus pragnie zjednoczyć ludzi wszystkich języków i narodów z wszystkich czasów. Bóg będzie na zawsze ich Ojcem i Panem, a oni będą Jego dziećmi i Jego ludem. W tym streszcza się całe orędzie Chrystusa. Punktem wyjścia i dojścia do tej szczególnej łączności jest *Królestwo niebieskie*. Przyszło ono na świat razem z Jezusem, ale nie rozwinęło się jeszcze w pełni. Królestwo to nie jest identyczne z Kościołem. Kościół to jedynie zaczątek Królestwa Boga, które jest o wiele szersze. Ochrzczeni przynależą do Kościoła, ale wielu z nich tkwi w nim tylko zewnętrznie, formalnie, dlatego nie są związani wewnętrznie z Królestwem Boga. Inni z kolei — ludzie wierzący i pobożni, którzy nie należą do Kościoła, bowiem oddziela ich kultura, historia, mentalność, szukają jednak woli Boga — czy można o nich twierdzić, że nie należą do Królestwa Bożego? Św. Augustyn powiada: „Wielu jest wewnątrz, którzy są na zewnątrz oraz wielu jest na zewnątrz, którzy są wewnątrz”.

Ci, którzy otwierają się na Królestwo — mówi Jezus — podobni są do człowieka, który znalazł skarb ukryty w ziemi; do kupca poszukującego pięknych pereł. Ludzie przypowieści pozbywają się wszystkiego, aby zyskać jeszcze więcej. Umieeli rozróżniać i wybierać.

Królestwo niebieskie powierzchowna i leniwa pobożność niektórych chrześcijan utożsamiała z życiem po śmierci. *Królestwo Boże wśród was jest* (Łk 17,21) — przypomina Jezus. Tkwi ono w sercu człowieka. Jest tam, gdzie Bóg Ojciec Wszechrzeczy zostaje przyjęty

przez własnych synów. Dlatego nie wybiega ono daleko w przyszłość i choć niewidoczne, jak skarb ukryty w roli, trwa.

Królestwo. Jego charakter określa prefacja o Chrystusie Królu: „Jest to królestwo prawdy i życia, miłości i pokoju”. Ileż to razy człowiek pragnął uczynić podobne, ale wyłączając Boga. Chciał Mu odebrać patent na królestwo prawdy i pokoju. Ileż państw, ileż ustrojów, ile armii, ile pieniędzy, ile propagandy, ile wysiłków obracano i obraca się do dnia dzisiejszego na uczynienie raj bez Boga. Człowiek pozazdrościł Stwórcy i chciał, i chce wydrzeć Mu prawdę, kreując ją na swój sposób, na swój wymiar, nawet jeśli to będzie półprawda, ćwierćprawda lub kłamstwo. Człowiek pozazdrościł Stwórcy i chce Bogu wydrzeć życie, manipulując nim według przez siebie ustanawianych praw. Człowiek pozazdrościł Stwórcy i chce czynić sprawiedliwość poprzez krzywdę. Człowiek pozazdrościł Stwórcy i walczy o pokój, wymyślając coraz to nowe rodzaje broni i coraz to nowe fronty wojen. W ciągu sześciu tysięcy lat rozegrało się na świecie ponad 14 000 wojen, w których zginęło ponad trzy i pół miliarda ludzi. Plon królestwa człowieka.

Uczynić królestwo bez Boga — to największa pokusa współczesności. Ciągłe są tacy, którzy nadal wierzą prorokom głoszącym raj na ziemi bez Boga. Wierzą, że struktury, ustroj, społeczeństwo, ekonomia — same przyniosą rozwiązania i uczynią nas szczęśliwymi. Czy myślisz — pisał Michel Quoist: „że, gdyby wszyscy ludzie mieli co jeść, dach nad głową, samochód, lodówkę; gdyby wszyscy ludzie mieli porządną naukę, zawód; gdyby uczeni i technicy opanowali ziemię, lekarze zwyciężyli raka, chorobę Heinego—Mediny, trąd i wszystkie choroby... gdyby społeczeństwo było pod względem ekonomicznym, politycznym, społecznym ujęte w zdrową strukturę — czy świat byłby wówczas rajem, w którym by ludzie mogli żyć szczęśliwie?” Nigdy. Żeby zmienić świat, i nasz mały od Bałtyku do Tatr także, żeby nastąpiło „królestwo prawdy i życia, sprawiedliwości, miłości i pokoju” musi się zmienić przede wszystkim serce ludzkie.

Czyż nie o tym przypomina papież Jan Paweł II w encyklice „Redemptor hominis” pisząc: „Istotny sens...»panowania« człowieka w świecie... leży w pierwszeństwie etyki przed techniką, leży w prymacie osoby w stosunku do rzeczy, leży w pierwszeństwie ducha wobec materii... Chodzi o rozwój osób, a nie tylko o mnożenie rzeczy, którymi osoby mogą się posługiwać... Człowiek nie może zrezygnować z siebie, ze swojego właściwego miejsca w świecie widzialnym, nie może stać się niewolnikiem rzeczy, samych stosun-

ków ekonomicznych... niewolnikiem własnych wytworów. Cywilizacja o profilu czysto materialistycznym oddaje człowieka w taką niewolę”.

Wśród zamieszania, dezorientacji opinii publicznej, nerwowego rozbiegania i niepokoju, rozlicznych planów na choć odległy — ale raj, trzeba przywoływać prawdę o konieczności przemiany serc. One zdecydują o trwałości przemian nowego królestwa. Bowiem może się okazać kolejny raz, że perła w dłoniach jest — fałszywa.

PIKNIK NA ŚWIEŻYM POWIETRZU

Gdy nastał wieczór, przystąpili do Jezusa uczniowie i rzekli: „Miejsce to jest puste i pora późna. Każ więc rozejść się tłumom: niech idą do wsi i zakupią sobie żywności”. Lecz Jezus... kazał tłumom usiąść na trawie, następnie wzięwszy pięć chlebów i dwie ryby, spojrzął w niebo, odmówił błogostawieństwo i połamawszy chleby dał je uczniom, uczniowie zaś tłumom. Jedli wszyscy do sytości (Mt 14,15.19).

Wokół Jeziora Galilejskiego, nad którym Jezus rozmnożył chleb i ryby, rozciąga się i dzisiaj okolica pusta, niezbyt zamieszкана. Na łagodnie opadających wzgórzach, porośniętych jak niegdyś trawą i z rzadka rosnącymi krzewami, nie sposób znaleźć ożywiającego cienia. Wielce zajmujące musiało być nauczanie Jezusa, kiedy *pięć tysięcy mężczyzn, nie licząc kobiet i dzieci* zapomniało o skwarze, utrudzeniu, głodzie. Ewangelista Mateusz nie musiałby jednak odnotowywać tej nauki, gdyby nie happy end o zachodzie słońca. Nawet nie wspomniał słowem, jaką przypowieść lub myśl rozwinął jego Mistrz. Z całego spotkania zapamiętał epilog — niezwykły piknik na świeżym powietrzu zgotowany słuchającym. Pięć płaskich placzków jęczmiennych (które w niczym nie przypominają naszego pachnącego, wyrośniętego, wypieczonego chleba) i dwie wędzone ryby — danie dla kilkunastu tysięcy ludzi, *którzy jedli do sytości*.

Santucci rozważając to wydarzenie kieruje wzrok na chleby i złociste ryby. Chleby, które nie zrodziły się z kłosa. Nie znały sierpa, ani stuku cepów na klepisku, ani kamienia młyńskiego, ani zacyniania ciasta. Dziwny piekarz nie ubielił mąką nawet swoich rąk. Powiedział tylko: *Nie potrzebują odchodzić. Każcie ludziom usiąść na trawie...* A chleby skrycie, tuzinami nabierały kształtu na spodzie pełnego kosza. Każdy otrzymał jeszcze ryby, ryby z cudu. Nie zrodziły się w głębinach jeziora. Potężna wola wyłowiała je z morza nie-

ruchomego i pustego, które zwie się nicością. Z niebytu gospodarz przerzucił je w miłosierdzie i zaraz spełniły krótkotrwałe, ale najważniejsze zadanie — stały się darem.

Siedzący na kwiecistym pagórku zostali zadziwieni słowami, jakich nigdy nie słyszeli i zdarzeniem, jakiego nie oglądały oczy człowieka, a które było potwierdzeniem prawdziwości odsłanianych przez Jezusa tajemnic. Poprzez widzialny znak pociągnięci do Niewidzialnego.

Św. Efreem żyjący w IV wieku, wpatrując się w cud rozmnożenia, z mądrością jakże różną od naszej, pisał: „Dzieło Pana dosięga wszystkiego: w mgnieniu oka rozmnożył niewielką ilość chleba. To, co czynią ludzie i co przemieniają pracą dziesięciu miesięcy, uczyniło Jego dziesięć palców w jednej chwili. Jego ręce były jak ziemia pod chleb, Jego słowa jak grom, szmer jego warg rozlał się jak mgła... W krótkiej chwili doprowadził do końca to, co normalnie wymagałoby długich miesięcy. Z małej ilości chleba powstało mnóstwo chlebów, podobnie jak wtedy, w pierwszym błogosławieństwie: *Rozmnażajcie się i wzrastajcie, i mnożcie się* (Rdz 1,28). Wypowiadał je Ojciec, kiedy stwarzał wszechświat poprzez Słowo. Słowo—Jezus stwarza nowy kosmos. Jego początkiem jest chleb, jaki tłumy jedzą pod dachem nieba, a który przemienił za niedługi czas w chleb spożywany pod dachem świątyń. Daje go przez ręce uczniów każdemu, kto przychodzi, jak wtedy nad Jeziorem, aby sycił swoje głody, aby nie ustał w drodze.

NIEUDANY SPACER

O czwartej straży nocnej Jezus przyszedł do uczniów, krocąc po jeziorze. Uczniowie zobaczywszy Go kroczącego po jeziorze, zlekli się myśląc, że to jest zjawia i ze strachu krzyknęli. Jezus zaraz przemówił do nich: „Odwagi! Ja jestem, nie bójcie się”. Na to odezwał się Piotr: „Panie, jeśli to Ty jesteś, każ mi przyjść do siebie po wodzie!” A On rzekł: „Przyjdź!” Piotr wyszedł z łodzi i krocąc po wodzie przyszedł do Jezusa. Lecz na widok silnego wiatru uląkł się i gdy zaczął tonąć, krzyknął: „Panie, ratuj mnie!” Jezus natychmiast wyciągnął rękę i chwycił go mówiąc: „Czemu zwątpiłeś małej wiary?” (Mt 14,25-32).

Jezus krocąc po wodzie odsłania swoją głęboką tajemnicę. Zawieszenie prawa ciężenia ukazuje nie tylko Jego moc, ale Jego Boskie pochodzenie. Mistrz z Galilei czyni to, co wedle Biblii jest możliwe jedynie dla Boga. Tylko Stwórca *kroczy po morskich głębinach* (Hi 9,8). Jego droga wiodła przez wody, ścieżka przez wody rozległe — dopowiada psalmista (76,20). W rozumieniu Izraelitów woda była siedliskiem szatana. Opisane zdarzenie wyraża zatem więcej niż samą władzę Chrystusa nad światem i rządzącymi nim prawami. Chodzący po wodzie, po królestwie demonów, Jezus — to Kyrios, Pan kosmosu, który panuje i nad złem. Uczniom siedzącym w łodzi znany był ten tok rozumowania. Bojaźń przejmowała ich, gdy patrzyli na tę wędrówkę po falach jeziora. Dlatego ci, którzy byli w łodzi — odnotowuje szczegółowo Ewangelista — *upadli przed Jezusem, mówiąc: „Prawdziwie jesteś Synem Bożym”*. I pozdrowienie to nie było grzecznościowe.

Do wizerunku Jezusa, Pantokratora kroczącego po jeziorze, dodany jest drugi — Piotra. Człowieka ludzkiego, budzącego sympatię, a przecież pełnego kontrastów. Rybaka z twarzą ogorzałą od słońca, który nie potrafił pływać, bowiem stąpając po falach, gdy znikła moc wiary, zaczął zwyczajnie tonąć. To do niego powiedział Jezus: *Czego*

zwątpieś małej wiary? „Na dobrą sprawę — snuje myśl Tadeusz Zychiewicz — jest rzeczą bardzo wątpliwą, czy ktokolwiek z nas postawiony w sytuacji Piotra odważyłby się w ogóle wytknąć nogę poza burtę łodzi. A jeśli już — byłby to co najwyżej płochliwy ruch człowieka badającego koniuszkiem palców temperaturę wody. Piotr jest przy nas gigantem wiary”.

Pełen euforii i nieporadności. Wiedział, czym jest miłość, czym zdrada. Gwałtowny, gdy mieczem ciął ucho sługi Malchusa, a przecież tak zawstydzająco prosty i ufny, kiedy odpowiadał po raz trzeci na zaskakujące pytanie Jezusa: *Czy miłujesz Mnie?* Wierny po śmierć krzyżową (głową w dół), ale i pełen zwątpienia nie tylko podczas nieudanego spaceru po wodzie. Niecierpliwy, kiedy biegł o świtanie do grobu, i bardzo praktyczny. Lęk mieszał się w nim z odwagą. Tak bliski wielu. Podobny we wzlotach i upadkach. „Uporczywie wzbraniał się przed światłem. Czepiał się zdrowego rozsądku rybaka. Miotając się między uporem i strachem, z nich obu zrodzony, zdolny był zarówno do wielkości, jak do tchórzliwej małości. Dlatego cię kochamy, Piotrze — człowieku. I dlatego — pisze pokornie Luigi Santucci — On dał nam ciebie za przewodnika, biedaka jak my wszyscy. Na to, by cię uznać za przewodnika, wystarczy twój skok z łodzi”, gdy wstawał świt nad Jeziorem Tyberiackim.

NIEZBĘDNE MINIMUM

Jezus podążył w okolice Tyru i Sydonu (Mt 15,21).

Morze, skały, ustronie — *okolice Tyru i Sydonu*. Miejsce, jakie wybrał Jezus na odpoczynek dla siebie i uczniów. Otoczony bezustannie napierającym, niecierpliwym tłumem, pełnym próśb, zawołań, okrzyków, gwałtownej gestykulacji, wiedział, czym było zmęczenie ciała i nadszarpnięte nerwy. Żywiołowość tamtych dialogów uprzytomniła mi mała, lakoniczna tabliczka nad przednią szybą miejskiego autobusu w Jerozolimie: „Nie rozmawiać z kierowcą, ponieważ musi trzymać ręce na kierownicy”. W Ewangeliach wielokrotnie można dostrzec, jak piękne miejsca wybierał Jezus na odpoczynek i modlitwę — wzgórze nad Jeziorem Galilejskim, pełne zapachów i kolorów; Tabor z pysznym widokiem na cztery strony świata, który zmienia swe kolory nie tylko wraz z porami roku, ale i o różnych porach dnia. Na jego szczycie, wiosną, gdy celebrowałem mszę, ptaki w otaczających drzewach i zaroślach śpiewały z takim zapałem, że stojący obok nie bardzo mogli usłyszeć słowa liturgii; kredowa Góra Kuszenia, z której rozciąga się niezapomniany widok na Jerycho — ogromną oazę, pełną soczystej zieleni wśród złotej pustyni; czy wodospady Cezarei Filipowej obfite w chłodny cień i skały strzelające prosto w górę, skąd niedaleko już do srebrzystego Hebronu. Wśród piękna i spokoju znajdował czas wytchnienia i medytacji; chwile milczenia, które syci.

Zachęta Jezusa: *Pójdźcie osobno na miejsce pustynne i wypocznijcie nieco* (Mk 6,31), skierowana do uczniów, którzy tak byli zapracowani, że *nawet na positek nie mieli czasu*, jest podejmowana przez większość współczesnych w czasie wakacyjnym i urlopowym. Przemysł turystyczny wyszukuje coraz to nowe zakątki, kraje, aby je zaoferować za solidną opłatą. Patrząc nie tylko na długie kolejki graniczne, nie można jednak oprzeć się myśli, że częstokroć urlop staje się męczącym przedsięwzięciem. A wakacje zamieniają się

w zunifikowany kicz dla mas. Czas wolny kosztuje coraz drożej, ale czy coraz bardziej wzbogaca? Jałowy bieg nie regeneruje. Zabrane ze sobą tranzystory, magnetofony i inne przedmioty hałasu nie dozwalają usłyszeć ciszy. Nawet w czasie wolnym często nie ma miejsca na podróż do wewnątrz, a kto nie odbywa podróży w głąb siebie, ten nie istnieje. W odpoczynku nie chodzi tylko o zabawę, rozrywkę czy kulturę spędzania wolnego czasu, która jest u nas ciągle w powijkach, ale i o świat spowolnienia, zadumy, ściszenia, kontemplacji natury, nabrania dystansu do tego, w co wplątany jest człowiek na co dzień, odnalezienia samego siebie.

Niezbędne jest owo minimum przestrzeni, wolnego czasu i ciszy, aby usłyszeć własny puls życia wewnętrznego. Ono bowiem odkryte lub umocnione uzdatnia do dialogu, prawdziwej więzi i czynu. „Piękna, fałszywa i zgubna jest myśl oddalająca od najprawdziwszego życia, które nie jest na zewnątrz tego, co widzialne, ale wewnątrz, jak list w kopercie” — powiada w swoim „Dzienniku” Jacques de Bourbon Busset.

Trzeba przyzwolić w czas wakacyjny na szczególną samotność, która pozwala poznać samego siebie oraz zobaczyć wokół księgę świata — skarb niewidzialny i nie dający się odmierzyć, a w niej okrucy wieczności. Tłum zaczyna się od trojga. „W towarzystwie innych możesz poznać wiele rzeczy, ale jedynie w samotności siebie. W samotności ponownie odkryjesz Boga, jeżeli Go zgubiłeś, odkryjesz Go, jeśli Go dotychczas nie poznałeś. W samotności kształtowali się giganci i święci, w zgiełku głupcy i zbrodniarze” — pisze Giovanni Albanese.

W odpoczynku, tańcu, zabawie tkwi potencjał rozpoznawania sensu życia i odnajdywania obecności Stwórcy. Wśród darowanego czasu mówi Jezus: *Przypatrzcie się ptakom w powietrzu: nie sieją ani żną i nie zbierają do spichlerzy, a Ojciec wasz je żywi. Czyż wy nie jesteście ważniejsi niż one? Kto z was przy całej swej trosce może choćby jedną chwilę dotożyć do wieku swego życia? Przypatrzcie się liliom na polu, jak rosną: nie pracują ani przędą. A powiadam wam: nawet Salomon w całym swym przepychu nie był tak ubrany jak jedna z nich* (Mt 6,26-29).

W wakacje masz cały czas świata. Potrzeba jedynie — powiedzmy za autorem książki „Śpiew ptaka” — byś chciał go wziąć. Co cię powstrzymuje?

OSOBA DOSKONALE KŁOPOTLIWA

Gdy Jezus przyszedł w okolice Cezarei Filipowej, pytał swych uczniów: „Za kogo ludzie uważają Syna Człowieczego?” A oni odpowiedzieli: „Jedni za Jana Chrzciciela, inni za Eliasza, jeszcze inni za Jeremiasza albo za jednego z proroków”. Jezus zapytał ich: „A wy za kogo Mnie uważacie?” Odpowiedział Szymon Piotr: „Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego” (Mt 16,13-16).

W miejscu, gdzie Jordan wypływa z pieczar, tworząc malowniczą kaskadę spadających wód, Jezus przeprowadza wśród swojego najbliższego otoczenia szczególny sondaż: Co myślą o Nim ludzie? Uczniowie powiedzieli, nie bez dumy, co słyszeli — Mistrza przyrównywano do znamienitych postaci w historii ich narodu. On milczał. Patrzył na orszak z przeszłości. Przywołani nawet wszyscy razem nie odsłaniali Jego tajemnicy. Cóż mógł mieć wspólnego ze wspaniałymi cieniami, On — przychodzący z przyszłości?

Na pytanie, jakie padło niedaleko miasteczka Baniias, odpowiadały potem wieki, narody i jednostki. Kolejne pokolenia w różnych językach przynosiły coraz to nowe odpowiedzi. Każdy kontynent lub region nadawał im swoisty koloryt wyrosły z historii, nauki, kultury. Mistycy i filozofowie, duchowni i świeccy, uczeni i prości, młodzi i starzy, pytali siebie i drugich: Kim jest Jezus? W wiele stuleci później Rilke zapytał dosadnie: „Kimże jest ów Jezus, który miesza się do wszystkiego... i który ustawicznie domaga się, by być pierwszym w naszym życiu?”

Jezus jest wieloznaczny. Nie mieści się w pojęciach i schematach. Wymyka się umysłom, spojrzeniom, dłoniom tych, którzy pragną Go zatrzymać.

Jego współcześni rozumieli Go całkiem źle. *Od zmysłów odszedł* (Mk 3,21) — komentowała z dezaprobatą część Jego krewnych.

W pierwszych wiekach jawiły się manowce jednostronnego ujmowania osoby Jezusa. Jezus tylko człowiek. Jezus tylko Bóg. W ciągu kolejnych stuleci odpowiedzi oscyływały między tymi dwoma krańcowymi sformułowaniami. Im bliżej naszych czasów, tym bardziej zróżnicowane są odpowiedzi. Jezus — fascynujący człowiek. Genialny myśliciel, którego narodziny zapoczątkowały nowe liczenie czasu. Jezus — mit. „Tych, którzy widzą w Jezusie postać mityczną — powiada w swym „Dzienniku” Jacques de Bourbon Busset — wolno zapytać: »Któż śmiałby wymyśleć osobę tak doskonale kłopotliwą?«”. Jezus — nieistniejąca postać, wyrósł w świadomości ciemzonego ludu, powiadały jeszcze do niedawna naukowe encyklopedie bliskiego sąsiada, zainteresowanego tym, aby wymazać Go z dziejów. Jezus — rewolucjonista „o największych sukcesach, najwybitniejszy, jaki kiedykolwiek żył, który zerwał pęta niewolnictwa i milionom pomógł osiągnąć wolność, a przy tym przelał tylko jedną jedyną krew ludzką — swoją” — taką A. Faudenom w swoich rozważaniach przywołuje myśl, powielaną jeszcze do dzisiaj.

Kim jest Jezus? Lista odpowiedzi jest bardzo długa. On Sam w niedługi czas później powie o sobie: *Jestem drogą, prawdą i życiem* (J 14,6). Najstarsze gminy chrześcijańskie wyjawiają Pawłowi tuż po jego nawróceniu; *Jezus jest Panem*, to znaczy Bogiem, podstawą i celem całej rzeczywistości. Powtarzając tę myśl w liście do Rzymian (10,9) Apostoł Narodów doda od siebie: *Jezus to wierny obraz niewidzialnego Boga* (Kol 1,15). Jednak pierwszą poprawną odpowiedzią, jaką usłyszał Jezus, jest tamta spod Cezarei Filipowej, którą wypowiedział Piotr: *Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego*. W ślad za nim chrześcijanie wyznają w credo: Jezus „Bóg z Boga”. Jezus — odpowiadają ojcowie ostatniego Soboru: „jest celem ludzkich dziejów, punktem, do którego zwracają się pragnienia historii i cywilizacji, ośrodkiem rodzaju ludzkiego, weselem wszystkich serc i pełnią ich pożądań” (KDK 45). Jezus to „Bóg — pośrodku naszego życia, choć zarazem bardzo odległy” — wyznaje w swych zamyśleniach Ditrich Bonhoeffer. Jezus jest tym, „bez którego człowiek nie może zrozumieć samego siebie” — dopowiada do długiej listy Jan Paweł II.

A wy za kogo Mnie uważacie? — pada tamto niezmiennie pytanie, skierowane tym razem do nas, współczesnych. Do każdego oddzielnie. Kim jest Jezus dla ciebie?

I nie ma dnia, który nie wymagałby na nie odpowiedzi.

IŚĆ PO ŚLADACH

Jezus rzekł do swoich uczniów: „Jeśli kto chce pójść za Mną, niech się zaprze samego siebie, niech weźmie krzyż swój i niech Mnie naśladuje. Bo kto chce zachować swoje życie, straci je; a kto straci swe życie z mego powodu, znajdzie je. Cóż bowiem za korzyść odniesie człowiek, choćby cały świat zyskał, a na swej duszy szkodę poniósł?” (Mt 16,24-26).

Ludzie odczuwają potrzebę sensu, który przenikałby ich dni i działanie. Coraz bardziej nerwowo poszukują i wybierają wielorakie modele życia. Jednak „niejednokrotnie poszukujący przekonują się na własnej skórze, że wszelkie proponowane wartości mają charakter względny. Czują się — powiada Michael Belzer — jak podróżni na okręcie miotanym przez fale, bez kompasu i sternika, bez nadziei na dotarcie do lądu i portu, wystawieni na pastwę żywiołu tuzinkowych opinii”. Jak odróżnić to, co naprawdę ważne, od tego co złudne? Co ostatecznie nadaje sens napędzanemu bezustannie kołowrotowi dni? Która z proponowanych „wersji człowieka” ocala go w czasie i poza nim?

Chrystus ukazuje wizję człowieka, który od Boga wyszedł i do Niego podąża. Człowiek nie jest kaprysem materii. Zrodzony z miłości Boga, może ją dojrzeć i na nią odpowiedzieć. W tym tkwi sens jego istnienia. Odpowiedź dawana Bogu, jest związana z wybraniem Chrystusa. On zaś stawia nas przed alternatywą: *kto chce zachować swoje życie, straci je; a kto straci swe życie z mego powodu, znajdzie je*. Jezus nie narzuca wyboru. Nikogo doń nie zmusza. Każdemu pozostawia swobodę. *Jeśli kto chce* — powiada, od dwóch tysięcy lat stając cicho, delikatnie i pokornie u drzwi ludzkiego serca. „Wybór Chrystusa — mówi Brat Roger z Taizé — zakłada marsz tylko jedną drogą, a nie dwoma równocześnie. Kto chciałby w tym czasie iść za Chrystusem i iść za sobą samym, szedłby za swoim własnym cieniem”.

Naśladowanie Jezusa, wynikające z Jego słów i życia nie przedstawia się jako droga prosta i wygodna. Z pozoru wydaje się, że jest to droga mało atrakcyjna. „Dopiero gdy na nią wstąpię — pisze autor książki »Tak wierzę i tak żyję« — przekonam się, że jest jedyną drogą ku wyzwoleniu i nadziei”.

Zaproszenie Mistrza z Galilei: *Jeśli kto chce iść za Mną... niech weźmie swój krzyż*, nie zawiera żadnego dodatkowego obciążenia. On nie żąda, aby wziąć na siebie Jego krzyż, ale swój, bowiem „najcięższy krzyż, jaki mamy do dźwigania, to zawsze my sami” — dodaje z przejęciem Odilio Lechner. *Krzyż* — znak podobieństwa, między Mistrzem i uczniem; to nic innego jak wezwanie do przekraczania siebie, znak owego *zaparcia się samego siebie*, bez którego nie ma prawdziwej wolności, ani smaku życia. W tym miejscu spotyka się propozycja Jezusa z przemyśleniami współczesnego człowieka. „Istota ludzkiej egzystencji polega na tym — pisze Wiktor Frankl, psycholog — by wyjść na zewnątrz siebie. To znaczy, że człowieczeństwo mierzy się tym, w jakim stopniu człowiek potrafi nie dostrzegać siebie i zapomnieć o sobie”. Człowiek wypełniony swoim „ja”, zamknięty we własnej kuli egoizmu, zakochany w sobie z wzajemnością, nie jest w stanie przyjąć do siebie ani Boga, ani ludzi, ani świata. Nie jest w stanie przyjąć także szczęścia. Spełniają się nad nim słowa Jezusa: *Bo kto chce zachować swoje życie, straci je...* Paradoksalnie — im więcej ujmiemy z miłości własnej, im bardziej przekraczamy swój spokój, wygodę, egoizm, tym nasze życie nabiera głębi i sensu. Związek z Bogiem zaś przydaje mu nowej orientacji.

Zaproszenie Chrystusa: *Jeśli kto chce iść za Mną...*, jest po prostu propozycją, jak stawać się Człowiekiem. Jego wymiar nakreślił Stwórca w Księdze Rodzaju: *stworzył Bóg człowieka na swój obraz* (1,27). Jakże zachęcająca jest myśl współczesnego teologa: Trzeba starać się iść po śladach Jezusa. Jeśli Jego kroki okażą się dla mnie za duże; nie szkodzi, mogę się do nich chociaż przymierzać, choćbym miał pozostać daleko w tyle.

Biblia określa to jako naśladowanie Jezusa.

OFIAROWANA OBECNOŚĆ

Jezus rzekł: „Jeśli dwaj z was na ziemi zgodnie o cokolwiek prosić będą, to wszystkiego uczyni im mój Ojciec, który jest w niebie. Bo gdzie są dwaj albo trzej zebrani w imię moje, tam jestem pośród nich” (Mt 18,19-20).

Obecność Boga jedni dostrzegają w bezmiarze kosmosu, drudzy w pięknie kwiatu, inni w majestacie lub ciszy gór, jeszcze inni w spotkanej miłości.

Swoją obecność Bóg Biblii odsłania *w płomieniu ognia, ze środka krzewu (Wj 3,2)* — który widział Mojżesz — wśród grzmotów i błyskawic, gdy z dekalogiem zstępował w ogniu na górę Synaj *i unosił się dym z niej jakby z pieca i cała góra bardzo się trzęsa (Wj 19,16-18)*; w snach, wizjach, znakach i wydarzeniach. Jako Bóg delikatny i łagodny jawi się w przepięknym opisie Księgi Królewskiej: *Oto Pan przechodził. Gwałtowna wichura rozwalająca góry i druzgocąca skały szła przed Panem; ale Pan nie był w wichurze. A po wichurze — trzęsienie ziemi; Pan nie był w trzęsieniu ziemi. Po trzęsieniu ziemi powstał ogień; Pan nie był w ogniu. A po tym ogniu — szmer łagodnego powiewu (1Krl 19,11-12).* W nim przyszedł Bóg do Eliasza.

Obecność Boga objawia Ewangelia. Jest On w Jezusie, w Eucharystii, w Słowie, w sakramentach, w mijanym przechodniu, w Kościele i tam *gdzie dwaj lub trzej zebrani są w imię Jego* na modlitwie. Niektórym trudno zobaczyć obecność Obecności, nie mogą przedrzeć się przez reizm, poglądy czy własne serce. O wiele mniej jednak jest tych, którzy śmieliby powiedzieć, że nieobecność Boga jest jakimś postępem.

Modlitwa — świat ofiarowanych i przenikających się wzajemnie obecności: Boga oraz człowieka. Wielu ludzi nie wierzy w modlitwę. Wielu nie ma na nią czasu. Wielu sprowadziło ją do formułek grzesnościowych typu: „Dzień dobry, lub Dobranoc, Panie Boże” albo magicznych głaskań, wziętych prosto z baśni o „cudownej lampie

Aladyna". Modlitwa — monolog wśród ścian własnego osamotnienia? Schronienie przed życiem? Tania rezygnacja? Skąpa pociecha? Wołanie donikąd? Modlitwa — świat nieufności, ironii, ale i gwałtownej potrzeby.

Głód modlitwy nie był dotychczas tak wielki, zwłaszcza wśród młodych, jak dziś. Poszukujących kieruje do Taizé, na Daleki Wschód, ku technikom zen i jogi, do różnych guru, grup i wspólnot. Pragną oni wyzwolić się, stać się panami własnego ciała i ducha, przyjąc wewnętrzne, duchowe doświadczenie. Chodzi im o to, by dojść do harmonii ze swoim „ja” i jednocześnie do harmonii z innymi ludźmi, z całym światem, a ostatecznie z Bogiem. Asceza, iluminacje, techniki prowadzą ku wnętrzu. „W modlitwie jednak — pisze André Louf — chrześcijanin odczuwa nagle, od wewnątrz ku komu jest zwrócony całą swoją istotą”. Poprzez nią nie wchodzi w świat li tylko swego wnętrza, czy nirwany, ale komunikuje się z Osobą. *Gdzie są dwaj lub trzej zebrani na modlitwie, Bóg Jezus staje pośród nich.*

Biskup Teofilakt z Bułgarii zauważa, iż Jezus „nie mówi »będę« — nie ociąga się bowiem, nie zwleka — lecz mówi »jestem«, to znaczy już znajduję się tutaj”. *Zebrani w imię moje* — powiada Jezus — czyli tacy, którzy Go znają i naśladują. „Ci, którzy gromadzą się w czyjeś imię, muszą dobrze znać wolę tego, kto ich zgromadził i dostosować się do niej” — pisał w IV wieku św. Bazyli. „Kto rozmawia z Bogiem, musi dostosować się też do miary Boga” — powiada kardynał Józef Ratzinger. *Jeśli dwaj z was na ziemi zgodnie o cokolwiek prosić będą, to wszystkiego użyje im mój Ojciec... O cokolwiek* — a więc o wszystko, od rzeczy małych do wielkich, od spraw ciała po potrzeby ducha, podejmując problemy pojedynczych osób, narodów i świata. Otrzymają *wszystko* to, co jest im potrzebne, co nie znaczy wszystko to, czego pragną. Wysłuchanie modlitwy zależne jest od tego, czy proszący zanoszą ją *zgodnie*, a więc w jedności nie tylko z Bogiem, ale i pomiędzy sobą wzajemnie. Wszystko, co człowiek myśli i mówi egoistycznie wbrew innym, sprzeciwia się temu warunkowi. Modlitwa jednak, jeśli ludzie przewyciężając zażargi i konflikty, stają przed Bogiem, stwarza lub umacnia ich jedność. Nie dzięki ich wysiłkowi, ale przez łączność z Chrystusem.

Mówi się dziś, że powinniśmy raczej zmieniać świat niż się modlić. Nasz świat nie zmieni się na lepsze, gdy ludzie się nie zmienią. I nie ma skuteczniejszej siły przemiany niż modlitwa, w której ludzie otwierają się na działanie Boga. „Dlatego — powiada współ-

czesny teolog — modlitwa dotyczy istoty tego, ku czemu zmierza pedagogika: takiej przemiany człowieka w głębi jego wnętrza, aby stał się nowym stworzeniem”. Módlmy się wzajem za siebie, aby coś z tego nam się udało...

SZANSA NOWEGO POCZĄTKU

Piotr podszedł do Jezusa i zapytał: „Panie, ile razy mam przebaczyć, jeśli mój brat wykroczy przeciwko mnie? Czy aż siedem razy?” Jezus mu odrzekł: „Nie mówię ci, że aż siedem razy, lecz aż siedemdziesiąt siedem razy” (Mt 18,21-22).

Piotr z własnego doświadczenia wiedząc, że ludzkie przewiny, nieprawość, słabość częstokroć przekraczają dopuszczalne granice, pyta Mistrza, gdzie leży granica przebaczenia. Ile razy można darować bratu—recydywiście, który skrzywdził? Rabin zapewniali, że Bóg przebacza najwyżej trzy razy tej samej osobie. On poszedł dalej, podając jako miarę liczbę doskonałą, sakralną — siedem, oznaczającą według niektórych ówczesnych szkół rabinackich „wiele”. Jezus ogłasza nową, trudną regułę: *aż siedemdziesiąt siedem razy* — czyli „zawsze”. Stawia jednak warunek uzyskania przebaczenia — opisany szczegółowo przez ewangelistę Mateusza w przypowieści o nielitościwym dłużniku, który chciał za wszelką cenę odebrać od wierzyciela swoje sto denarów, choć jego pan, zdjęty litością, darował mu właśnie dług w wysokości dziesięciu tysięcy talentów, a zatem równowartość sześćdziesięciu milionów denarów (Mt 18,23-35). Warunek jest taki: otrzymujący przebaczenie wyznaje swoją winę, żałuje, naprawia krzywdę oraz gotów jest z kolei darować winę, jaką mu wyrządzono.

Czy jednak człowiek jest w stanie powtarzać bez końca ów akt wybaczenia? „Człowiek człowiekowi może uczynić rzeczy nieodwracalne. W każdym z nas — pisał Tadeusz Żychiewicz — jest taka granica, po przekroczeniu której dzieją się przemiany trudne albo niemożliwe do cofnięcia. I martwieje także i możliwość wybaczenia. Jest właściwie jeden tylko realny sposób, aby się przed tym bronić; a rzecz zaczyna się od świadomości i zrozumienia własnych przewin. Człowiekowi, który naprawdę się poczuje dłużnikiem — trudniej gromadzić i konserwować kompleksy, bóle i pamięć wierzyciela.

Zawsze bywało tak, że potrafili wybaczać ci, którzy mieli świadomość własnych win. I czyjegoś wybaczenia”.

„Przebaczenie” — kluczowe słowo Biblii. Przenika Historię Zbawienia od pierwszego dnia stworzenia po ostatni, który zamyka Księga Apokalipsy. Przyjaźń pomiędzy Bogiem i człowiekiem trwa w ciągu tysięcy lat tylko dzięki przebaczeniu, jakie ciągle od nowa On — Bóg miłosierdzia — objawia. „Sprawiedliwy bowiem tysiąc-kroć na dzień upada” i tysiąc-kroć potrzebuje darowania win. Ale w Bożym przebaczeniu nie ma nic ze słabości, naiwności ani pobłażliwości wobec zła. W nim odsłania się miłość miłosierna, świat szansy. Nie jest to zaproponowany proces reedukacji, ale możliwość rozpoczęcia życia raz jeszcze, od nowa. Nasze przebaczenie udzielone innemu ma nie tylko związek z przebaczeniem, o które prosimy Boga. Ono je warunkuje. Bóg nie jest dobrym dziadkiem. Nie przebacza ludziom trwającym w zatwardziałości. „Tylko tęsknota za przebaczeniem posiada realny kształt: własną gotowość przebaczenia — miłość. Człowiek, którego sumienie milczy i który nie zna najzwyklejszych wartości, nie może liczyć na łaskę. Aby ją otrzymać, musi zdać sobie najpierw sprawę, że jest grzesznikiem” — rozważa kardynał z Kongregacji Wiary. Zamknięcie siebie wobec daru przebaczenia innym uniemożliwia spotkanie miłości, spotkanie Boga.

Bywa, że człowiek sam sobie pragnie przebaczyć, a przynajmniej samousprawiedliwić. Jest to potrzeba bardzo ludzka. Stara jak świat. Wymyśla racje, żeby mieć rację. Proces usprawiedliwienia — analizuje Pierre Talec — pociąga za sobą próbę pozbycia się winy, ale nie doprowadza do pogodzenia się z sobą i z ludźmi. Ta potrzeba samousprawiedliwienia wykazuje, że człowiek nie wytrzymuje życia w konflikcie z sobą i z innymi. Nie może w pełni żyć, jeśli mówi: „Nie znoszę tego typu”. Cóż dopiero, jeżeli tym typem jest on sam.

Świat, który nie chce przebaczać, który odmawia przyjęcia przebaczenia — nie ma szansy nowego początku. Zamyka człowieka nie tylko na możliwość odnajdywania Boga, ale także samego siebie i innych ludzi. Przed takim światem nie ma przyszłości.

WINNICA WIECZNIE ZIELONA

Królestwo niebieskie podobne jest do gospodarza, który wyszedł wczesnym rankiem, aby nająć robotników do swej winnicy. Umówił się z robotnikami o denara za dzień i posłał ich do winnicy. A gdy wyszedł około godziny trzeciej, zobaczył innych, stojących na rynku bezczynnie i rzekł do nich: „Idźcie i wy do winnicy mojej, a co będzie słuszne, dam wam”. Wyszedłszy około godziny, szóstej, dziewiątej i jedenastej tak samo ucznił (Mt 20,1-5).

Kiedy zbliżył się wieczór, pan stając pośród swoich robotników, kładzie im w dłoń po denarze, każdemu jednakowo. Twarze tych, którym zapłacił jako pierwszym, wyrażają zdumienie, przyjęto ich do pracy w winnicy już pod koniec dnia, tylko na jedną godzinę, a oto mają w dłoni niespodziewanie szczerą zapłatę, równą tej, jaką otrzymali pracujący od samego rana. Uradowani rozchodzą się do domów, podrzucając i chwytając monetę w powietrzu, jak dzieci — pisze Luigi Santucci. Jednak znoszący ciężar i upał dnia *szemrali przeciw gospodarzowi, mówiąc: „Ci ostatni jedną godzinę pracowali, a zrównałeś ich z nami”*. Na to odrzekł jednemu z nich: *„Przyjacielu, nie czynię ci krzywdy; czyż nie o denara umówiłeś się ze mną? Weź, co twoje, i odejdz... Czy mi nie wolno uczynić ze swoim, co chcę? Czy na to złym okiem patrzysz, że jestem dobry?”*

Chrystus nie przyszedł znosić umów pracy ani kontraktów dotyczących wynagrodzeń. Jego przypowieść wprowadza i ukazuje rzeczywistość Królestwa. Odstania twarz Boga — gospodarza winnicy; chciwości i zazdrości robotników pierwszej godziny przeciwstawia Jego łaskawość, hojność, dobroć. Sprawiedliwość nie została naruszona, ponieważ odebrali oni należną zapłatę, uzgodnioną rankiem w obopólnej umowie.

Jest to przypowieść o ludziach każdego czasu; o każdym z nas także. „O tym, że niektórzy z nas — napisał autor „Domu Ojca” — przychodzą wcześniej, pracują wiernie i u krańca dni mają za sobą

wiele dzieł dobrych; *a mniemali, że więcej otrzymają*; inni zaś mają ręce prawie puste i może tylko żal. A jednak zapłata może być ta sama. Mogłaby to być opowieść o tym, że łotr, który na krzyżu umiera, ledwie zdążył wyznać i zaufać — otrzymać może to samo, co święty: wszystko”.

Robotnicy ostatniej godziny. Podczas ostatniego dziesięciolecia w naszym kraju iluż ich przyszło z daleka do winnicy Pańskiej? Wielcy i mali, młodzież i dorośli, znani i anonimowi, publiczni i prywatni — grzesznicy. Intelktualiści, studenci, aktorzy, dziennikarze, pisarze, oficerowie, urzędnicy, ludzie z marginesu... Przychoǳą do winnicy nieraz pod wieczór swego życia. Czy z własnej winy? To wcześniejsze czy późniejsze przyjście jest sprawą Bożego wyboru. Widziałem ich niepojętą radość, zapewne podobną do tamtej radości robotników ostatniej godziny. Dla wielu „pobożnych” ich bliskość przy ołtarzu jest zbudowaniem, dla innych ciekawostką, ale bywa i powodem żalu oraz pretensji do Kościoła i do Pana Boga, że „takich” dopuszcza do Siebie. Oni chcieliby mieć na własność Jezusa jak szczygła w klatce i Jego winnicę, a przynajmniej zapewnienie, że właśnie oni i tylko oni za swoją wierność zasiądą w pierwszych rzędach niebieskiej łoży. Bóg, będąc sprawiedliwym, zna nie tylko paragrafy, miary i wagi. Jego Sprawiedliwość jest inna niż sprawiedliwość człowieka, Sam bowiem mówi: *myśli Moje nie są myślami waszymi, ani drogi wasze nie są drogami Moimi*.

Niemniej może zrodzić się pogląd, że po prostu nie opłaca się być przez całe życie dobrym chrześcijaninem, skoro i bez tego można otrzymać wynagrodzenie w postaci owego „denara” zbawienia. Życie bez wiary i modlitwy wydać się może temu lub owemu przyjemniejsze, mniej męczące niż z Bogiem. Zaczyna się wtedy nie tylko wątpliwość co do pierwszych wyborów, ale i sytuacja, że można być nagrodzonym nie tylko swoim zbawieniem, ale i nieszczęściem innych. Jak owi robotnicy pierwszej godziny. Jest to — jak rozważa kardynał Józef Ratzinger — bardzo ludzki punkt widzenia, ale na pewno bardzo mało chrześcijański.

W ewangelicznej winnicy, która jest wiecznie zielona, pracy nie brak. Wystarczy jej dla wszystkich. Bóg nigdy z niej nie wyrzuca. U Niego nie ma bezrobotnych. W ciągu wieków zaprasza pracowników, aby podjęli różne zadania, absorbujące, choć niełatwe. Tylko wyrachowani nie mają szans.

DOBRE SAMOPOCZUCIE OSKARŻA

Jezus rzekł: „Zaprawdę, powiadam wam: celnicy i nierządnicę wchodzą przed wami do królestwa niebieskiego” (Mt 21,31b).

Do dzisiaj szokuje przytoczone sformułowanie Chrystusa, a cóż powiedzieć, kiedy padło ono wśród wierzących i pobożnych, którzy zachowywali nie tylko dziesięć przykazań, ale i sześćset trzynaście przepisów Tory. Spamiętać je trudno, a co dopiero każdą chwilę i działanie konfrontować z tabelą zabraniającą, nakazującą, zalecającą. Człowiek umęczył się solidnie, miał jednak dane, żeby za cenę posłuszeństwa Bogu i Jego prawu, czuć się porządnym w Jego oczach i oczekiwać swego miejsca w Królestwie. Jednak posłuszeństwo wobec przepisów rytualnych nie jest autentycznym posłuszeństwem Bogu. Dobre samopoczucie i wieloraki spokój, płynący z przekonania o własnym wybraniu i ubezpieczeniu na wieczność, jednym zdaniem burzy Jezus. Ustawia na przodzie orszaku osoby nie tylko wątpliwej, ale jednoznacznej konduity. Jest to nie mniejszy szok niż czytanie listy świętych Kościoła, którą rozpoczynają: właśnie cytowany Mateusz Ewangelista (kolaborant i odstępca), Maria Magdalena, Zacheusz, „dobry łotr” Dyzma, Szaweł, a dopełniają wielcy pokutnicy aż do naszego stulecia włącznie. Jeden z nich — św. Augustyn — wyznał, wspólne im i wielu innym ludziom, przejmujące słowa: „sero te amavi” — jakże późno cię ukochałem. „W sercach, gdzie płonął ogień najgorszych żądz, rozpałił Chrystus inny ogień” — komentuje Amedée Brunot.

Tajemnice odnalezienia i zagubienia odśłania przed uczniami Chrystus w przypowieści o ojcu i synach: *Pewien człowiek miał dwóch synów. Zwrócił się do pierwszego i rzekł: „Dziecko, idź dzisiaj i pracuj w winnicy!” Ten odpowiedział: „Idę, panie!”, lecz nie poszedł. Zwrócił się do drugiego i to samo powiedział. Ten odpart: „Nie*

chcę". Później jednak opamiętał się i poszedł. „Któryż z tych dwóch spełnił wolę ojca?" Mówią Mu: „Ten drugi". Wtedy Jezus rzekł do nich: „Zaprawdę, powiadam wam: celnicy i nierządnicę wchodzi przed wami do królestwa niebieskiego. Przyszedł bowiem do was Jan drogą sprawiedliwości, a wyście mu nie uwierzyli. Celnicy zaś i nierządnicę uwierzyli mu. Wy patrzyliście na to, ale nawet później nie opamiętaliście się, żeby mu uwierzyć" (Mt 21,28-32). Nie ocala przed Bogiem seria pustych zapewnień, deklaracji bez pokrycia, nie spełnionych obietnic ani rytuału. Świat prawdziwej religijności nie sprowadza się do pobożnego westchnienia. Wszelkie złożone ręce bez próby wypełniania woli Boga są religijnym kłamstwem. Iluż nie tylko w niedzielę mówi Ojcu z przypowieści: „Idę". Jednak ich życie już w tej samej godzinie ujawnia, że nie poszli. Bóg nie oczekuje formuł wymówionych wargami, lecz owego „tak" pochodzącego z serca, choćby mrukniętego. Pozostając jedynie w sferze werbalnej wchodzi w świat odrzucenia.

Posłuszeństwo z przypowieści to wejście w ciąg zamierzeń Ojca i ich spełnienie. W każdym człowieku, od chwili jego poczęcia, upatruje On swego najbliższego współpracownika. Poprzez Chrystusa objawił, że chce go mieć nawet za syna, za córkę. Ileż spotyka Go jednak zawodów. O tych bolesnych niespełnieniach pisał baczny i wnikliwy autor rozważań „W domu Ojca": „Jednym z najsmutniejszych zajęć jest obserwowanie, jak z miłych i rozzamiętych chłopaków wyrastają nieciekawe dorosłe cwaniaki; jak z małego, pachnącego czyścioszka wyrasta nudny, oschły i podejrzliwy pedant z gatunku tych, co to w jajku szukają włosa; jak miłe i śmieszne małe dziewczynki zamieniają się w antypatyczne i całkiem nowoczesne megieiry. Kiedy zaś stanie się to — cóż stąd, że w albumach rodzinnych pozostały fotografie uroczych dzieci?" To po prostu wynik wypowiedzanego wielokrotnie, w sytuacjach najbardziej codziennych, owego *nie chcę*, gdy padała prośba pójścia do winnicy. Wtedy rodziły się postawy pozorów, połowiczne odpowiedzi, rodziły się chrześcijanie stojącej wody. „Wielkim nieszczęściem, wielką biedą naszego czasu — dodaje w tej samej tonacji Georges Bernanos — nie jest to, że istnieją bezbożni, lecz że są przeciętni chrześcijanie".

ŚWIAT ZAWŁASZCZONY

Postuchajcie innej przypowieści. Był pewien gospodarz, który założył winnicę. Otoczył ją murem, wykopał w niej tłocznię, zbudował wieżę, w końcu oddał ją w dzierżawę rolnikom i wyjechał. Gdy nadszedł czas zbiorów, posłał sługi swoje, by odebrali plon jemu należny (Mt 21,33-34nn).

Obraz winnicy pojawia się często na kartach Księgi Ksiąg — Biblii. Towarzyszy mu zazwyczaj pielęgnacja winogrodnika pełna wysiłku i trudu. Aby lepiej zrozumieć powracający archetyp, trzeba widzieć kamieniste pagórki pomiędzy Hebronem a Betlejem, na których rosną wstępujące na zbocza zielone „łaki”, zawieszane w powietrzu tuż powyżej oczu. Jakże rozumiała staję się wtedy zapobiegliwość o każdą gałązkę, o każdy pęd. Winnica kryje świat ludzkiej troski włożonej w każde wiszące grono. Malutkie kuleczki, kiedy dojrzeją, obcinane wczesnym porankiem są zimne, niemal jak kryształowy kolorowy lodu. Kiedy jednak zaczyna się dzień bywają gorące, niemal rozpalone, jak małe zrywane słońca. W obrazie winnicy prorocy: Ozeasz, Jeremiasz, Ezechiel dopatrywali się Izraela, a o nią miał przecież staranie sam Bóg. Izajasz wyśpiewał przejmującą pieśń o Jego miłości do swojej winnicy:

*Przyjaciel mój miał winnicę
na żyznym pagórku.
Otóż okopał ją i oczyścił z kamieni,
i zasadził w niej szlachetną winorośl,
pośrodku niej zbudował wieżę,
także i tłocznię w niej wykuł.
I spodziewał się, że dobre wyda winogrona,
lecz ona cierpkie wydała jagody (Iz 5,1-2).*

Pieśń o miłości nieodwzajemnionej, niewdzięcznej, o „winogronach zawodu”.

Jezus parokrotnie powraca do biblijnego tematu o winnicy. W przypowieści „o przewrotnych rolnikach”, kreśli obraz krwawego winobrania. Przeszłość i teraźniejszość swojego Ludu zamyka w kilku zdaniach. Do ludzi, którym Bóg okazując zaufanie powierzył swoją winnicę — Izrael, posyła sługi, aby odebrali od nich należność. Dzierżawcy, przywłaszczając sobie winnicę, odpowiadają agresją, pobiciem, zbrodnią. Składali ręce do modlitwy wśród rytualnych przepisów, a jednocześnie mordowali kolejnych posłańców — proroków. *A gdy w końcu postął do nich swego syna, rolnicy... schwytali Go, wyrzucili poza winnicę i zabili.* Bóg został odrzucony w Synu przez „pobożnych i odpowiedzialnych”.

Bóg jest odrzucany od tamtego czasu przez wszystkich, którzy pragną zawłaszczyć winnicę, jaką jest nie tylko świat, ludzkość, ale i każdy człowiek. Przywłaszczają dar i jego owoce. Mówią o autonomii i samowystarczalności, a są tylko domniemanymi, przenieściami dzierżawcami. Czy za naszych dni nie zabijano proroków? Czy pielęgnowani, umacniani, wydajemy oczekiwane owoce?

Przez wieki rośnie winnica i trwają o nią starania niestrudzonego Boga. Można mieć w nich swój udział.

Winnica ma także twarz pojedynczego człowieka. Bóg posyła do niego indywidualnie swoje „sługi”: wydarzenia, które nazywają dziwnym zbiegiem okoliczności, spotkania z ludźmi, natchnienia, wewnętrzne iluminacje. Niezmordowany posyła nadal Swojego Syna, Swoje Słowo. Czy nie powtarza się przypowieść Jezusa przełożona na nasze poranki i zmierzchy, nasze przyjęcia i odrzucenia? Czy jednak zawłaszczony świat nas ocali, kiedy Pan winnicy przyjdzie po swój zbiór?

KOMPOZYCJA RAMOWA

Jezus powiedział: „Królestwo niebieskie podobne jest do króla, który wyprawił ucztę weselną swemu synowi. Postąpił więc swoje sługi, żeby zaproszonych zwołali na ucztę, lecz ci nie chcieli przyjść. Postąpił jeszcze raz inne sługi z poleceniem: »Powiedzcie zaproszonym: Oto przygotowałem moją ucztę: woły i tuczne zwierzęta pobite, i wszystko jest gotowe. Przyjdźcie na ucztę«. Lecz oni zlekceważyli to i poszli: jeden na swoje pole, drugi do swego kupiectwa, a inni pochwyciwszy jego sługi i znieważywszy ich, pozabijali. Na to król uniósł się gniewem. Postąpił swe wojska i kazał wytracić owych zabójców, a miasto ich spalić. Wtedy rzekł swoim sługom: »Uczta wprawdzie jest gotowa, lecz zaproszeni nie byli jej godni. Idźcie więc na rozstajne drogi i zaproszcie na ucztę wszystkich, których spotkacie«. Słudzy ci wyszli na drogi i sprowadzili wszystkich, których napotkali: złych i dobrych. I sala napełniła się biesiadnikami” (Mt 22,1-10).

„Wiesz jak wygląda weselna uczta, kiedy odejdą biesiadnicy i kochankowie — pisał w »Twierdzy« Antoine de Saint-Exupéry. — O świcie bije w oczy pozostawiony nieład. Stłuczone dzbany, poprzewracane stoły, wygasły żar — na wszystkim odcisnięty i zakrzepły znak minionego tumultu. Ale odczytując te ślady nie dowiesz się niczego o miłości”.

Biblia jednak z upodobaniem przywołuje obrazy uczy, które mają ukazać wielkość przeznaczeń człowieka. Opowiada o skromnej uczcie w cieniu dębów Mamre, wydanej przez Abrahama na cześć trzech tajemniczych gości. Przywołuje ostatnią, wielką i świętokradczą ucztę króla Babilonii — Baltazara, któremu ukazała się ręka ludzka pisząca na ścianie sali biesiadnej (jej ogrom przywołuje w British Museum zachowany fragment tegoż pałacu z Niniwy) ostateczny wyrok: *mane, thekel, fares*. Święta Księga kreśli z upodobaniem obraz uczy radości na cześć marnotrawnego syna. Sam

Jezus, nieoczekiwanie dla wszystkich, zastawia ucztę na wolnym powietrzu nad Jeziorem Galilejskim. Rozmnażając chleb i ryby ukazuje świat sytości i odnalezioną więź między ludźmi. Ewangelie do uczyty w Betanii, pełnej zapachu nardowego olejku, dodają obraz uczyty w domu Lewiego, którą zatrzymał w swoim znakomitym obrazie Paolo Veronese. Zaś do uczyty w Kanie, gdzie patrząc na zakochanych oblubieńców uśmiechnięty Bóg—Człowiek czyni swój pierwszy cud przemieniając wodę w białe wino, trzeba zaraz dodawać obraz Jego uczyty ostatniej, podczas której, jak wysmakowany reżyser tworząc kompozycję ramową, wino przemieni w krew. I zamknie się koło zatoczone od pierwszego cudu po ostatni: woda w wino — wino w krew. Ale ucztą się nie kończy. Od tamtej pory na całym świecie Jezus zastawia stół podczas każdej Mszy świętej stając się pokarmem i napojem.

Izajasz w swojej księdze mówi, że niebo będzie wspaniałą biesiadą, do której zasiądzie z ludźmi, którzy nie zaspokoili swego głodu chleba, miłości, przyjaźni, przebaczenia, sprawiedliwości, radości, sam Bóg. On ich nasyci.

Do tego obrazu nawiązuje w przytoczonej przypowieści Jezus. Sala biesiadna przygotowana. Bóg pragnie ją zapełnić. W ciągu wieków posyła swoje zaproszenie do każdego. Wzywa do swego królewskiego stołu wszystkich: dobrych i złych. Nie wyłącza nikogo. Jednak zaproszenie wydaje się dla wielu zbyt dalekie, nierealne. A pod ręką jest świat dotykalny. Każdy ma swoje posiadłości, swoje kupiectwo. „Kramik interesów większy albo mniejszy, mniej lub bardziej opłacalny, ale jednak przy staraniach przynoszący wymierne korzyści — pisał Tadeusz Żychiewicz. — Posiadłości: jeśli nie więcej, to bodaj te cztery ściany odgradzające, bodaj te sprzęty, coś dla oka, coś dla dłoni; rzeczy własne, rzeczy miłe, realne, dotykalne. Warto zdobywania. Warto obrony. Tylko czy zawsze godne zaufania? Wielu było zaproszonych, ale oni, nie dbając o to, odeszli do swoich kramów i posiadłości. Zdawało się im to bowiem rzeczą rozsądną”.

Jednak przemijają posiadłości, kramy, szyldy i właściciele. Te, które wczoraj jeszcze były wielkie i znaczące, dzisiaj w prochu. I o tym mówi nie tylko Święta Księga, mówią nasze dni. Gdzie są ci, co zaufali rzeczom i hasłom? Czy jedne szyldy zamienione pospiesznie na drugie wystarczą? Czy otwarte na bagażnikach samochodowych, na skrzynkach i kocach kramy żałosne, pomnażane posiadłości niewielkie, częstokroć cwaniacko zdobywana zasobność, przyniosą pewniejsze ocalenie?

Do końca dni każdego człowieka i do końca świata będzie kierowane zaproszenie na ucztę. Jedni przyjmą je i zasiądą z Bogiem do stołu, drudzy zrezygnują i odejdą do swojego „kupiectwa” — oczekując zbawienia od samego siebie, myśląc, że można je dać sobie. Zawsze tak było. Przewidując ludzkie wybory Jezus kończy przypowieść o uczcie słowami: *Wielu jest powołanych, lecz mało wybranych.* Czym one są dla współczesnych — przestrogą, zachętą?

WIZERUNEK

Oddajcie Cesarzowi to, co należy do Cezara, a Bogu to, co należy do Boga (Mt 22,21).

Moneta na dłoni. Wokół postacie mężczyzn. Jedni z uwagą patrzą na srebrny, matowy krążek, drudzy pytająco na twarz Jezusa, pełną wewnętrznego skupienia. Spokój płynący ze znanego obrazu Tycjana „Moneta czynszowa”, zostaje złamany dopiero w zderzeniu z tekstem Ewangelii, który inspirował tego znakomitego malarza. Wydarzenie ukazuje pułapkę zastawioną na Mistrza z Galilei. Dominuje nad nim ciągle aktualne pytanie: *Czy wolno płacić podatek Cesarzowi, czy nie?* W jego kontekście ledwie widoczny na pieniążku wizerunek przynosi Jezusowi świat pełen zagrożenia, intryg i politycznej prowokacji. Jest rok trzydziesty. Wojska cezara Tyberiusza okupują Palestynę, a jego urzędnicy ściągają podatek. Jeśli wobec słuchających Jezus odpowie, że trzeba go płacić, zawiedzie wielu i narazi się opinii publicznej. Jeśli zaś powie, iż należy odmówić płacenia okupantowi, Rzymianie nie darują Mu tego. W sytuacji pomiędzy „tak” i „nie” powiada: *Pokażcie mi monetę podatkową.* Nie nosi bowiem przy sobie obrazu Cezara. Sam wszak jest obrazem Ojca — powie w IV wieku św. Ambroży. *Przynieśli Mu denara. On ich zapytał: „Czyj jest ten obraz i napis?” Opowiedzieli: „Cezara”.* Jego słowa i prośba nie są szukaniem wyjścia, unikiem, zręcznością ani kompromisem. Pozostając wierny sobie i posłannictwu wypowiada najmniej oczekiwaną myśl: *Oddajcie więc Cesarzowi to, co należy do Cezara, a Bogu to, co należy do Boga* — to znaczy całą swoją istotę. Bo czyż nie należy Go *miłować całym swoim sercem, całą swoją duszą, całym swoim umysłem?* Nie przyznaje pierwszeństwa rzeczywistości ziemskiej ani jej wyłączności. Chrystus nie przeciwstawia Boga Cesarzowi. Ukazuje autonomię spraw doczesnych i duchowych. Jednak suwerenem nie jest świat Cezara, lecz Boga. Czyż bowiem Cezar nie należy także do Niego?

Jezus nie gardzi światem. Nie wyrzuca nam, że jesteśmy związani światem opanowanym przez pieniądz i przez cesarza o wielu twarzach. Mówi jednak, aby ze świata, w który jesteśmy włączeni, korzystać zgodnie z Ewangelią. „Największą przeszkodą, jaką współcześni ludzie napotykają na drodze do wiary — pisał w »Chrétiens en dialogue« współczesny teolog Yves Congar — jest ich zdaniem brak więzi między wiarą w Boga czy perspektywą Królestwa Bożego a człowiekiem i jego poczynaniami ziemskimi. Jest więc rzeczą pilną dostrzec związek wewnętrzny, jaki zachodzi między tymi dwiema rzeczywistościami”. W życiu Jezusa można dojrzeć pewną dialektykę łączności i jej zerwania. Zajmuje określone stanowisko, ale nie jest stroną. Stosuje się do zasad Izraela, ale nie jest konformistą. Jest w porządku wobec Prawa, ale nie jest legalistą (Pierre Talec). Przywiązany do tradycji, ale nie jest tradycjonalistą. Nie jest ani po lewicy, która śladem Machabeuszów podzegała do powstania przeciw rzymskiemu okupantowi, ani po prawicy.

„Władza polityczna, państwo i jego prawa zatrzymują się na progu ludzkiego sumienia” — pisał Amedée Brunot. Lojalność też ma swoje nieprzekraczalne granice. Nie zawsze bywa czytelny wizerunek na monecie. Nie zawsze wiadomo, do kogo należy. Stąd trzeba umieć rozróżniać tych, którzy mówią o dobru wspólnym, prawdzie, wolności, sprawiedliwości, od tych, którzy tym wartościom rzeczywiście służą. Polityka bywa miejscem ludzkiej próżności, żądz władzy, intryg i spodziewań, a powinna być troską o dobro wspólne oraz jedną z form miłości, o jakiej mówi Ewangelia. I z tego powodu Kościół może i ma obowiązek wypowiadać się również w dziedzinie polityki.

MAKSIMUM SENSU

Jeden z faryzeuszów zapytał Jezusa wystawiając Go na próbę: „Nauczycielu, które przykazanie w Prawie jest największe?” On mu odpowiedział: „Będziesz miłował Pana Boga swego całym swoim sercem, całą swoją duszą i całym swoim umysłem”. To jest największe i pierwsze przykazanie. Drugie podobne jest do niego: „Będziesz miłował swego bliźniego jak siebie samego”. Na tych dwóch przykazaniach opiera się całe Prawo i Prorocy (Mt 22,35-40).

W latach sześćdziesiątych podjęto w Stanach Zjednoczonych próbę ochrony noworodków przed bakteriami. Wymyślono sterylne, wzorcowe żłobki. Dziećmi opiekowały się pielęgniarki w maskach i rękawiczkach. Po krótkim czasie niemowlęta przestały się uśmiechać, a także rozwijać umysłowo i fizycznie. Gwałtownie wzrosła wśród nich śmiertelność. „Epidemia” ustała, gdy przywrócono im bezpośredni kontakt z człowiekiem, pełen miłości i macierzyństwa. Miłość stała się bardziej niezbędna niż pokarm. Czy tylko w życiu noworodków?

Z wszystkich wartości świata, potrzeb serca, przykazań religii — to jedno jest **n a j w i ę k s z e**: *Będziesz miłował... i będziesz miłował...* W podwójnej wypowiedzi Jezusa wspólna wartość. Jesteśmy przyzwyczajeni do tego krótkiego zdania. Powtarzane po wielokroć brzmi banalnie, a jego głęboki sens wymyka się i mówiącym, i słuchającym. Świat ukryty w słowie *miłować* jest wieloznaczny — dla jednych oznacza sentyment lub wielkie uczucie, dla drugich zawiezenie i obecność, dla innych pożądanie i spełnienie, dla jeszcze innych zwątpienie lub rzeczywistość podobną fałszywej monecie. Miłość to nie sympatia ani romans, to nie przygoda ani namiętność. Każda kultura, epoka, każde pokolenie, a w nim: starzy, młodzi, a nawet dzieci, mistycy i ateści, samotni i zakochani mają swoje marzenia i obrazy miłości. Rodziły one zachwyty i tragedie, życie i śmierć, wewnętrzne bogactwo i spustoszenie. Ilu ludzi, tyle odpo-

wiedzi. Każdy uważa się za eksperta w miłości. W tej kakofonii wielorakich odpowiedzi, czym naprawdę jest miłość?

Jest tajemnicą, jaką trzeba odkryć. Człowiek o tyle tylko istnieje, o ile w pełni potrafi kochać. Bez miłości nie zrozumie nigdy samego siebie. Przed ludźmi, którzy przestali nią żyć, nie ma już przyszłości. Jest znamienne, że negacja miłości często idzie w parze z negacją Boga.

Kochać i być kochanym — dojmujące pragnienie. Rodzi się w głębinach serca, a uzewnętrznia się jako postawa. Miłość jest darem z siebie, darem bezinteresownym. Jest wzajemną wymianą, w której nikt nie traci, a każdy dając — otrzymuje. Jest potrzebą dobra dla drugiej osoby, zrozumieniem, troską, współczuciem a także więzią ofiarowywaną i przyjmowaną. Ona powiększa serce. Gdy ludzie źle kochają, wyrządzają wiele zła jedni drugim. „Powiedz mi, co ty miłujesz, a ja powiem ci, kim jesteś — pisał św. Augustyn. — Jeśli ziemię miłujesz, ziemią jesteś, jeśli niebo miłujesz, niebem jesteś, a jeśli Boga miłujesz, Bogiem jesteś”. Miłość jest punktem wyjścia, a nie dojścia.

Jezus odświanta, że Bóg nie żyje w zaświatach — lecz przebywa w przestrzeni, jaką utkali wokół siebie ci, którzy się kochają. *Będziesz miłował...* powiada Chrystus, bo miłość przyprawdza Boga na świat. Bez niej ludzie i świat niszczej. „Jesteśmy śmiertelni tam, gdzie brak miłości; nieśmiertelni tam, gdzie kochamy” — napisał Karl Jaspers. Dlatego „życie pomyślne to nie pomyślność w życiu, lecz przeżycie wielkiej miłości” — wyznaje w swoim „Dzienniku” Jacques de Bourbon Busset. Ona tworzy maksimum sensu. Miłość bliźniego jest i pozostanie właściwym sercem chrześcijaństwa. Jezeliś przez miłość potrafił nadać sens życiu choćby jednego człowieka, to już twoje życie jest udane. Żadna reforma i żaden przewrót nie sprawią, że dar miłości stanie się zbędny. Miłość jest duszą duszy człowieka. Jest duszą społeczeństwa. „Ludzie potrafią żyć tam, dokąd nie dotarła elektryczność, radio, silniki, maszyny, komputery; nie potrafią jednak żyć tam, gdzie nie ma choćby odrobiny miłości” — zauważa Giovanni Albanese.

Nie ma dwóch miłości, miłości Boga i miłości człowieka. Jest tylko jedna. „Kto doznaje ludzkiej życzliwości, przyjaźni, kochania — ten wstępuje w nurt, który płynie od Boga do człowieka” (Manfred Lay). Nie jest On dodatkiem ani kłopotliwym partnerem, lecz duszą wszelkich autentycznych powiązań z ludźmi. I kiedy obecnie trudno wielu ludziom odnaleźć zdolność rozróżniania pomiędzy tym, co do-

puszczalne, a co niedopuszczalne; gdy wadliwe sumienie stało się popsutą miarą — trzeba odzyskiwać duchową tożsamość, powracać do fundamentów człowieka. Na erozję moralną, relatywizm, agresję, zgorzknienie czasu obecnego Jezus przywołuje raz jeszcze rzeczy pierwsze: *Będziesz miłował.*

ZAKOTWICZONY W PRZYSZŁOŚCI

Rzekł Jezus: „Niech się nie trwoży serce wasze... W domu Ojca mego jest mieszkań wiele. Gdyby tak nie było, to bym wam powiedział. Idę przecież przygotować wam miejsce” (J 14,2-3).

Święto zmarłych. I znowu o jesiennej porze zakwitły barwne ogrody wśród świąteł, wspomnień, honorowych wart i modlitw. Żywi odwiedzają umarłych. W średniowieczu cmentarze nazywano „cichymi przystankami pielgrzymów utrudzonych długą wędrówką”. W naszym stuleciu do owych pątników dodany jest jeszcze świat ofiar wojen, ludobójstwa, prześladowań, wielorakiej przemocy. Orszak dopełnia krąg bliskich, którzy odeszli. Żyją w naszej pamięci i sercu. Ale czy to wystarczy? Czy kruche wspomnienie ich ocali?

Pamięć przywołuje także niezliczone rzesze Polaków — zesłańców, żołnierzy, wygnańców, tułaczy, których prochy zmieszały się z cudzą ziemią na wszystkich kontynentach. Ich mogiły zbiorowe, bezimienne, a także niedawno odkryte opowiadają dzieje nieludzkich systemów i działań. Ich cierpienie, ból, ofiarę trzeba nie tylko otoczyć szacunkiem, ale przyjąć jako trudne i zobowiązujące dziedzictwo, wzywające do życia godnego. Wobec tego daru uczucia patriotyczne, ekshumacje i pomniki nie wystarczają. Także reinterpretacja naszych dziejów, która jest pilna i konieczna, nie przyniesie pełnej odpowiedzi. Bowiem życie naszych ojców, dziadów, pradziadów żąda nowych, o wiele głębszych przemyśleń, które potrafią dotrzeć do logicznej struktury wszelkich wydarzeń, do Bożego planu zbawienia świata. Dopiero wtedy można mówić, że żywi odczytali poprawnie księgę umarłych i wynieśli z niej mądrość, która łączy doświadczenia bolesnej przeszłości z nadzieją jutra.

Ojcowie Soboru Watykańskiego II powiedzieli: „iż tajemnica losu ludzkiego ujawnia się najbardziej w obliczu śmierci”. Pytanie o jej sens jest pytaniem o sens życia. Wcześniej lub później staje ono przed każdym. Wierzącym i niewierzącym. Młodym i starym. Pytanie o sens śmierci jest ciągle to samo. Odpowiedzi różne. Bunt. Rozpacz. Ucieczka. Nadzieja... Nie należy lekceważyć owych prób i postaw. Śmierć rzuca najbardziej dojmujący cień na życie. Kościół, jako depozytariusz Jezusa Chrystusa, w ciągu wieków objawia, że tylko Bóg rozwiązuje ten węzeł ludzkiego istnienia. On ofiarowuje „pociechę rozleglejszą niż świat, która przychodzi sprzed czasu i trwa jeszcze po nim” (André Frossard). Bez Boga śmierć jawi się jako otchłań, upadek w nicość i pustkę.

Jest tylko jeden grób na świecie, z którego wyszedł Umarły i który nadal żyje. Od tamtej pory stał się miejscem, gdzie przed ludźmi, których dni są już zamknięte, otworzyła się przyszłość. Chrystus zmartwychwstając pokonał w śmierci to, co śmiertelne. Odślonił, że „życie ludzkie nie kończy się, ale się zmienia”. Od czasu poranku wielkanocnego śmierć pozostaje nadal tajemnicą, lecz tajemnicą miłości i zjednoczenia, dlatego *niech się nie trwoży serce wasze...* — powiada Jezus. W Nim — który objawia, że po życiu, życie trwa — odnajdujemy wszystkich jacy odeszli, także bliskich, o których mieliśmy, że utraciliśmy ich bezpowrotnie. Są uratowani i żyją *w domu Ojca, w którym jest mieszkań wiele*, bowiem człowiek, jeśli zaistniał — wedle Ewangelii — nie może przestać być.

W święto zmarłych szczególnie doświadczamy łączności z tymi, którzy są już po tamtej stronie. Związku ich dni z naszymi dniami. Nasz czas obecny zakotwiczony jest w ich przeszłości, ale i oni i my zanurzeni jesteśmy w Bogu. Tę jedność, zawsze aktualną, podkreśla modlitwa na tablicy w kościele w Dobrzyniu nad Wisłą:

„Niech Bóg w miłosierdziu swoim obdarzy wiekiustym szczęściem umarłych,
a żywym błogosławi i drogą obowiązków ich wiedzie”.

EKSPOZYCJA

Największy z was niech będzie waszym sługą. Kto się wywyższa, będzie poniżony, a kto się poniża, wywyższony będzie (Mt 23,11-12).

Wiemy z historii, że w wyniku narodowej tragedii, kiedy Rzymianie otoczyli Jerozolimę i zburzyli ją, zniknęły ze sceny religijnej wszystkie dwadzieścia cztery judaistyczne ugrupowania. Odeszli wtedy w przeszłość saduceusze, zeloci, eseneicy... Wszyscy.

Wszyscy z wyjątkiem faryzeuszy, którzy zostali ze swoją wiarą, że uda się im jeszcze odnowić życie duchowe Izraela (A. Faudenom). Byli to zdecydowanie najbardziej ortodoksyjni, gorliwi i wytrwali obrońcy prawa pisanego — Tory oraz tradycji. Poważano ich za to. Z czasem miłość do Boga zamienili w pergaminowy zwój pokryty nakazami i zakazami o łącznej liczbie 613. Do dziś trwa pamięć owych szczegółowych przepisów na zbawienie. Podczas jednego z moich pobytów w Jerozolimie, gdy dzieliłem owoc granatu, powiedziano mi, że jest w nim tyle ziaren, co przepisów Tory. Faryzeusze z czasem polubili wygodne miejsca, niskie ukłony, długie tytuły przed nazwiskiem. Życie wielu z nich stało się jak krzywe zwierciadło, a w nim wiara karykaturą. Z czasem słowo „faryzeusz” zaczęło oznaczać każdego, kto odszedł w świat pozorów. Stało się synonimem pojęcia obłudnik, świętoszek, hipokryta, człowiek fałszywy, dwulicowy, uważający się za lepszego od innych. Przed nimi przestrzegał Jezus: *Mówią bowiem, ale sami nie czynią. Wszystkie swe uczynki spełniają w tym celu, żeby się ludziom podobać... Lubią zaszczytne miejsca na ucztach i pierwsze miejsca w synagogach. Chcą, by ich pozdrawiano na rynkach i żeby ludzie nazywali ich Rabbi.*

Iluz ludzi przyjęło w ciągu wieków i wyznaje do dziś tę orientację. Męczą się grą, udając kogoś większego, lepszego lub mądrzejszego od siebie. Sztuka nieekspozowania własnej osoby, widzenia siebie w prawdzie, czyli takim, jakim się jest (co chrześcijaństwo

nazywa niemodnym słowem „pokora”), potrzebna nie tylko dla własnego zdrowia psychicznego, ale dla życia w rodzinie, wśród bliskich i nieznanym, przełożonych i podwładnych. Rada Seneki do dzisiaj nie straciła niczego ze swej aktualności: „Nie zazdrośćmy tym, którzy wyżej od nas są postawieni, ponieważ to, co nam wydaje się wysokim zaszczytem, jest krawędzią przepaści. Ci więc, których złowrogi los umieścił na zawrotnych wyżynach, staną się bardziej bezpieczni, jeżeli pozbędą się pychy, która z natury towarzyszy wielkości, a swoje szczęście niechaj sprowadzą na niziny. Wielu musi pozostawać na szczytach i tylko przez upadek mogą z nich zstąpić. Dają więc dowód, że przez to są dla siebie największym ciężarem, ponieważ muszą unikać innych i czują się wywyższeni, ale tak, jak łotrzy przybici do krzyża”. Pokora odpina człowieka z tego próżnego, niechrześcijańskiego krzyża. Wtedy *największy* staje się *ślugą*.

Wiemy z historii, że w wyniku narodowej tragedii, zniknęły z religijnej sceny wszystkie dwadzieścia cztery judaistyczne ugrupowania. Strzeżmy się, faryzeusze są jedyną orientacją, która nie wyginęła. Warto także pamiętać, iż z czasem prawda wychodzi na jaw, bowiem „Veritas Temporis filia”, to znaczy: Prawda jest córką Czasu. My zaś mamy go dosyć.

DOŁĄCZENI DO WESELNEGO ORSZAKU

Czuwajcie, bo nie znacie dnia ani godziny (Mt 25,13).

Bóg Biblii ma wiele twarzy. Każda z nich przybliży człowiekowi Jego Boski niewypowiedziany świat. Jedną z najbardziej przejmujących i pełnych zachwytu odsłon Objawienia jest Bóg—Oblubieniec. Taka autoprezentacja może być zaskakująca, trudna do zrozumienia lub porażająca. Bóg—Miłość pragnie miłości. Nie waha się zaproponować człowiekowi związku bardzo wewnętrznego, podobnego temu, jaki łączy oblubienca i oblubienicę. *Poślubię cię na wieki w miłości i wierności* — powiada człowiekowi w Księdze Ozeasza (2,21). Obraz wzajemności, o jaką zabiega, dopełnia wynikająca z niej nadzieja i radość, bowiem *jak młodzieniec weseli się z oblubienicy, tak twój Bóg tobą się rozraduje* (Iz 62,5). „Pieśń nad pieśniami” opowiada dalszy ciąg owej „odstony”, oto wśród ciemności nocy nieoczekiwanie On przybywa i staje u drzwi człowieka. A kiedy ten ociąga się z powitaniem i przyjęciem nocnego gościa, niecierpliwy Oblubieniec odchodzi. Gdy drzwi wreszcie zostają otwarte, jest już za późno.

Obraz ten dopełnia przypowieść Jezusa o pannach mądrych i głupich. W orszaku dziesięciu dziewcząt, które miały towarzyszyć młodej parze do domu oblubienca, pięć zapomniało wziąć oliwy do swoich lamp, a gdy poszły ją kupić, spóźniły się na gody i zastały drzwi zamknięte. Średniowiecze stawiało posągi owych panien w obramowaniu portali katedry magdeburskiej czy erfurckiej; w swym zamierzeniu dołączało do tamtego weselnego orszaku wszystkich wchodzących do świątyni, a nawet całą ludzkość. Mądre panny, stojące w kamieniu u drzwi, są obrazem gotowości i czuwania. Przypominają bezustannie Chrystusowe: *Czuwajcie, bo nie znacie dnia ani godziny.*

Przed tajemnicą upływu czasu człowiek stoi od początku swego istnienia. Zmaga się z nią i popełnia te same, co w ciągu pokoleń, błędy. W zapędzonym życiu jednostek i wspólnot brak jest miejsca na myśl o trwaniu poza granicami czasu. W przypowieści „o panach mądrych i głupich” Chrystus nie tylko przypomina nieuniknioną konieczność spływania w wieczność (do której wchodzi wszyscy, niezależnie czy księża będą ich zaganiali kropidłem, czy nie), lecz także fakt, że poprzez terażniejszość człowiek tworzy swoją przyszłą sytuację. Seneka, znając zbiory sentencji egipskich, pouczał młodzieńca skarżącego się na krótkość życia, że musi ono być wartościowane nie liczbą lat, lecz zdobywanym w nich bogactwem wewnętrznym. Współcześni sądzą, że ich pierwszym i głównym obowiązkiem jest zaangażowanie się w sprawy tego świata. „Życie zamykają wśród zjawisk dostrzegalnych zmysłami, wśród przeżyć obywatelskich się pozornie bez konfrontacji z pojęciami nieśmiertelności i sankcji pozagrobowych. Dlatego też jest ono zatłoczone wydarzeniami i problemami oderwanymi od punktu odniesienia: wieczności. I przestaje być sensowną opowieścią” — pisał ks. Jerzy Mirewicz. W kontekście tej wypowiedzi chłodny komentarz Proust’a pozostaje nadal przejmujący i aktualny: „Zawsze przed pracą wewnętrzną, którą mamy do wykonania, dajemy pierwszeństwo odgrywanej przez nas roli pozornej”. Odgrywać w życiu rolę pozorową, to znaczy nie wiedzieć, w czym się naprawdę uczestniczy, kto lub co jest w nim najważniejsze. Przecież jeszcze nie tak dawno wielu nie bez bólu ujrzało, że przeżyli nie swoje życie, tylko jakieś cudze, narzucone przez układy, stosunki społeczne, ideologie, podyktowane przez innych, czy przez własny konformizm. Faktem jest, że weszli w świat pozorów, dali się ogłupić i zmanipulować. Rzeczywistość wielorakich pozorów nie skończyła się. Nie kończy się także czas, w którym można odzyskać właściwe proporcje rzeczy, życia i świata. Sens nadaje im wieczność, odkrywana i utrwalana w świadomości przez wiarę, umacniana przez czujność, do jakiej wzywa Mistrz z Galilei.

Nie można zaprzepaścić chwili wejścia Oblubieńca. On wyznacza każdemu i wszystkim dzień oraz godzinę spotkania. Jednak może przyjść nagle, stąd konieczność gotowości. Wtedy i rada chińskiego mędrca: „Gdy ujrzysz koniec drogi twego życia, opłakuj czas, którego zabrakło” — nie ocali. Trzeba oczekiwać Go zawsze, przez całe życie. Jedynie zachowana „wierność, która na płaszczyźnie religijnej nazywa się wiarą” (A. Brunot) jest ratunkiem w taki czas. Staje się

ona wtedy owym nikłym płomieniem z oliwnej lampki i rozjaśnia przejście przez próg. A brak czasu, którego nie starczyło na dialog z wiecznością, nie okaże się wtedy mitem.

SYSTEM MONETARNY

Temu zaś, kto nie ma, zabiorą nawet to, co ma (Mt 25,29).

Pewien człowiek, mając udać się w podróż, przywołał swoje sługi i przekazał im swój majątek. Jednemu dał pięć talentów, drugiemu dwa, trzeciemu jeden, każdemu według jego zdolności i odjechał. Po powrocie dowiedział się, że pierwszy i drugi, obracając powierzonym kapitałem, powiększyli go w dwójnasób, trzeci zaś bojąc się swego pana, skrył swój talent i zakopał w ziemi. Pan dwóch pierwszych nagrodził, a złemu i gnuśnemu słudze odebrał talent i dał temu, który miał ich dziesięć. Każdemu bowiem, kto ma, będzie dodane, tak że nadmiar mieć będzie. Temu zaś, kto nie ma, zabiorą nawet to, co ma. A sługę nieużytecznego wyrzucicie na zewnątrz — w ciemności. Tam będzie płacz i zgrzytanie zębów.

Znana przypowieść Jezusa o talentach powierzonych ludziom. Talent za Jego czasów był jednostką w systemie monetarnym, której wartość równała się sześciu tysiącom dniówek pracy. Z upływem czasu, zapewne nie bez wpływu tej przypowieści, stał się on synonimem wielorakich zdolności, które wrodzone lub nabyte stwarzają sposobność do tworzenia dobra w sobie i współtworzenia go pośród ludzi. Talenty, nierównomiernie udzielone ludziom przez Boga, budzą podziw, zawiść, niechęć. Jednak nikt nie przychodzi na świat pozbawiony choćby jednego z nich. Jezus przyznaje, że Bóg nie daje każdemu jednakowo, ale wyraźnie mówi, że od każdego będzie żądał pomnożenia talentu, jaki w nim złożył. Przy czym, im bardziej ktoś został obdarowany, tym większa spoczywa na nim odpowiedzialność i pełniejsze musi przynieść dobro. Złożony w człowieku dar nie jest z powodu niego samego, ani po to, aby wynosił się ponad innych, czy czerpał wyłącznie profity dla siebie, ale przede wszystkim z troski o ludzi, pośród których żyje. Samo posiadanie talentu nie nobilituje. Jego wielkość i blask nie czyni automatycznie posiadacza lepszym i mądrzejszym. Dopiero fakt pomnożenia tego talentu w ży-

ciu przez pracę, trud, wytrwałość wprowadza człowieka w krąg pełni i nagrody. Należy zatem podjąć „czynne życie”, które oznacza więcej niż „robocizna”. Nikt nie może tłumaczyć się miernymi możliwościami, jakie rzekomo Bóg w nim złożył. Każdy na miarę swoich możliwości i uzdolnień powinien przyczyniać się do promieniowania dobra na świecie. Bowiem według Odwiecznego Dawcy nie ma talentów nadzwyczajnych i zwykłych, lepszych i gorszych, wielkich i małych. Szewc robiący dobre buty może być człowiekiem większego talentu i pewniejszy nagrody, niż dziennikarz piszący kiepskie artykuły; zaś matka chyląca się z miłością nad niemowlęciem o wiele bliższa pomnażania talentów niż mniszka na klęczkach wśród roz-targnień i połowiczności. Nie wielość i wielkość wykonywanych ob-wiązków, ale wierność w posługiwaniu się otrzymanymi darami — ocala.

We wszystkich dziedzinach ducha ludzkiego istnieje pewna róż-nica uzdolnień. Choćby w dziedzinie muzyki: znamy talenty twórcze, odtwórcze i ludzi niemuzycznych. Podobne zjawisko, jak stwierdza fenomenologia, może zachodzić w religii. Bywają ludzie „uzdolnieni” i „nieuzdolnieni” do postrzegania rzeczywistości religijnej. „Nielicz-nym, dla których sprawy Boże są niejako oczywistością, przeciwsta-wiają się liczni uzdolnieni w sensie religijnym tylko pasywnie. Pozbawieni bezpośredniego doświadczenia świętych — pisze kard. Józef Ratzinger — nie są jednak na tyle głusi, aby za pośrednictwem »uzdolnionych« nie mogli zetknąć się z tym, co Boże”.

Różne bywają dary, lecz ten sam Pan. Cóż zatem czynimy z ta-lentami, jakie nam powierzył?

OSTATNIE SŁOWO

Gdy Syn Człowieczy przyjdzie w swej chwale... zgromadzą się przed Nim wszystkie narody, a On oddzieli jednych ludzi od drugich, jak pasterz oddziela owce od kozłów (Mt 25,31-32).

W ostatnią niedzielę roku kościelnego przywołany jest obraz Sądu Ostatecznego, końcowego aktu historii, w którym wezmą udział Bóg i wszyscy ludzie — żywi i umarli, w dodatku nie jako widzowie stojący z boku, ale jako jego uczestnicy. Zobaczył go w proroczej wizji Jan Apostoł, którą próbował zapisać: *Ujrzałem wielki tłum, którego nikt nie mógł policzyć, z każdego narodu i wszystkich pokoleń, ludów i języków (Ap 7,9)*. Będą tam „neandertalczyki, których czaszki konserwujemy w muzeach i naukowo sprzeczamy się, czy byli to już ludzie, czy też tylko małpy. Będzie tam także ostatni człowiek, jaki się narodził... Będą tam karty z puszczy afrykańskich i obywatele najdalszych syberyjskich tundr, królowie i żebracy, geniusze i kretyni, starcy i dzieci, wszyscy” — uszczegółowia obraz A. Faudenom.

Na Ostatni Sąd patrzy się najczęściej poprzez monumentalną wizję Michała Anioła, namalowaną w Kaplicy Sykstyńskiej. Wśród kłębiących się w powietrzu postaci staje Jezus *pełen mocy i majestatu*, aby dopełnić sens świata i zamknąć ostatni rozdział jego dziejów. Zachwyt lub przerażenie odnotowane w każdym geście, w każdej twarzy, są dalekie od łąki wiecznie zielonej Hansa Memlinga, u którego ów Sąd spełnia się w ciszy, medytacji oraz w głębokich pokładach serca. Jezus—Sędzia *oddzieli jednych ludzi od drugich*, oddzieli tych, którzy służyli dobru, od tych, którzy wynajmowali się złu. Sąd, jaki wydaje na siebie samego człowiek w obliczu własnej śmierci, dostępując pełnego poznania siebie, bez żadnej taryfy ulgowej, dopełni się jako Sąd Boży, wobec jasnego poznania Boga i Jego wymagań. Ostatnie słowo Boga wobec każdego z osobna jest tylko Jego „podpisem pod decyzjami sumienia człowieka” —

stwierdza Ferdinand Krenzer. „Ewangelia daleka jest od patrzenia na dzieje jako na historię nieustannego postępu, w której dobro, prawda, wiara coraz bardziej się umacniają i zwyciężają. Tego rodzaju naiwny optymizm stoi w sprzeczności z całym historycznym doświadczeniem — piszą teologowie w katechizmie niemieckim. — Dwoistość dziejów i moc zła w świecie nie stanowią ostatniego słowa”. Ostatnie zdanie należy do Boga, który przyjdzie na końcu czasów.

Jego Sąd odstąpi także każde życie, jakie człowiek sam sobie zgotował. To czas decyzji, jakie nigdy nie będą cofnięte. Jezus Chrystus będzie jedyną nadzieją w ów dzień sprawiedliwości i miłosierdzia, gdy płonąć będzie świat oraz jego fundamenty. On stanie się także miarą ocalenia podczas grozy. Największy hymn średniowiecza opiewał go jako:

„Dies irae, dies illa,
Solvat saeculum in favilla.
Dzień gniewu, ów dzień,
co świat rozsypie w proch”.

Przyszły Sąd zależny jest od terażniejszości. Od chwili wniebowstąpienia Jezusa Bóg żyje w świecie jakby w rozproszeniu. Ma On postać żyjącego obok człowieka. Bóg ma twarz matki lub dziecka, dziewczyny lub starca, przyjaciela lub współpracownika, sąsiadki lub nieznanego przechodnia. Oni — wedle tego, co mówi Jezus — będą wtedy kryterium odmierzającym ocalenie albo potępienie. Podczas Sądu padną słowa Boga: *„Pójdźcie, błogostawieni Ojca mego, weźcie w posiadanie królestwo przygotowane wam od założenia świata. Bo byłem głodny, a daliście Mi jeść; byłem spragniony, a daliście Mi pić; byłem przybyszem a przyjęliście Mnie; byłem nagi, a przyodziliście Mnie; byłem chory, a odwiedziliście Mnie; byłem w więzieniu, a przyszliście do Mnie”*. Wówczas zapytają sprawiedliwi: *„Panie, kiedy widzieliśmy Cię głodnym i nakarmiliśmy Ciebie? Spragnionym i daliśmy Ci pić? Kiedy widzieliśmy Cię przybyszem i przyjęliśmy Ciebie, lub nagim i przyodziliśmy Cię? Kiedy widzieliśmy Cię chorym lub w więzieniu i przyszliśmy do Ciebie?”* A Król im odpowie: *„Zaprawdę, powiadam wam: wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnie uczyniliście”*. Wieczność przychodzi przez czyny dnia. Niewidzialny Bóg, zanim zasiądzie na tronie jako sędzia, chodzi nierozpoznany wśród ludzi. Zatem, jak mówił Leon Bloy, *„zamieszkujmy terażniejszość jako ludzie przyszłości”*.